PL ISSN 0239-2720
Nr indeksu 365661

magazyn 997 kryminalny

NR 5 (1872) ● 4 II 1990 ● CENA 1000 ZŁ

- MILICYJNE ZWIĄZKI
- POLICJE ŚWIATA
- 8 LAT PÓŹNIEJ W KWK „WUJEK"
- NOC NA SYGNALE
- ROZMOWA Z KATEM
- STRZAŁY W ŚWIEBODZICACH
- NAJMRODZKI STORY (III)

3 1990

zdjęcie Krzysztof Mokrzyszewski



POJEDNANIE W GDAŃSKU

czytaj s. 3-4

SPOTKANIE Z POSŁEM

zdj. K. Mokrzyszewski



W MSW odbyło się spotkanie przedstawicieli rad funkcjonariuszy jednostek centrali z posłem na Sejm, szefem Służby Bezpieczeństwa MSW płk. doc. dr. Jerzym Karpaczem.

W swoim wystąpieniu płk Karpacz przybliżył zebranym kulisy pracy Sejmu oraz rolę, jaką odgrywa w nim Klub Poselski PZPR. Obrazując wagę problematyki dotyczącej resortu spraw wewnętrznych w debatach parlamentarnych zaznaczył, że zajmują się nią aż trzy komisje: sejmowa, senacka oraz nadzwyczajna, działająca pod przewodnictwem posła J. Rokity z Krakowa. Resort w najbliższym czasie znów czekają gorące dni. W lutym zostaną bowiem wniesione do Sejmu projekty nowelizacji ustaw „O urzędzie ministra spraw wewnętrznych" i „O służbie funkcjonariuszy".

Przechodząc do problematyki zawodowej płk J. Karpacz stwierdził, że w interesie wszystkich pracowników jest, aby reformy w resorcie dokonano w jak najkrótszym czasie. Podkreślił równocześnie, że naczelną zasadą, wyznaczającą stanowisko kierownictwa MSW wobec przemian, jest troska, aby każdy funkcjonariusz znalazł miejsce zgodne z kwalifikacjami i nie poniósł strat moralnych i finansowych.

Zwracając uwagę na konieczność odpolitycznienia resortu spraw wewnętrznych wobec nowej formuły sprawowania władzy w państwie, zaznaczył, iż jego zdaniem funkcjonariusze powinni mieć swobodę zrzeszania się w partiach różnych orientacji, lecz poza miejscem pracy.

W trakcie spotkania zadano szefowi Służby Bezpieczeństwa MSW wiele pytań, z których przebijała obawa o dalsze losy kraju. Płk J. Karpacz odpowiadając na nie stwierdził m.in., że chociaż największym zagrożeniem jest obecnie wzrastająca radykalizacja nastrojów społecznych, to nie ma alternatywy dla zachodzących zmian. Wyraził również przekonanie, że stosunek do resortu jest wciąż determinowany emocjami. Należy jednak mieć nadzieję, że po unormowaniach legislacyjnych te negatywne nastroje ulegną zmianie.

CEZARY WOLIŃSKI

OBRADOWAŁA KRAJOWA KOMISJA KOORDYNACYJNA

W świetlicy WUSW w Gdańsku, po raz pierwszy od chwili ukonstytuowania się, obradowała Krajowa Komisja Koordynacyjna NSZZ Funkcjonariuszy MO. Omówiono projekty ustaw: 1. „O ochronie bezpieczeństwa i porządku publicznego oraz bezpieczeństwa obywateli i organach właściwych w tych sprawach", 2. „O urzędzie ministra spraw wewnętrznych", 3. „O zmianie niektórych przepisów Ustawy z dnia 31 VII 1985 r. o służbie funkcjonariuszy SB i MO". Dalsza konsultacja odbywać się będzie w urzędach spraw wewnętrznych, wspólna opinia zaś posłuży do zajęcia przez KKK NSZZ FMO odpowiedniego stanowiska.

Poinformowano również o rozmowach z przedstawicielem Krajowej Komisji Wykonawczej „Solidarności" oraz przygotowaniach do rozmów z Lechem Wałęsą.

Przebieg obrad, liczne postulaty itp. świadczą o tym, iż systematycznie rośnie prestiż działaczy, poszerza się sfera związkowego oddziaływania. Wskazują na to także pierwsze doświadczenia we współdziałaniu z przełożonymi. Zdarza się jednak także brak zrozumienia, chęć pomniejszania roli tworzącego się związku, dlatego kontrowersyjnymi sprawami zajęła się komisja interwencyjna.

Opowiadając się za pełną niezależnością tak od sił politycznych, jak i innych związków, zebrani podjęli uchwałę w której m. in. ustosunkowali się do wypowiedzi niektórych posłów i senatorów. Stwierdzono w niej: „My, przedstawiciele niezależnych samorządnych związków zawodowych funkcjonariuszy MO wyrażając opinię ogółu milicjantów jesteśmy przeciw manipulowaniu informacjami w środkach masowego przekazu dotyczącymi m. in. wysokości wynagrodzeń, czasu pracy upoważniającego do nabycia praw emerytalnych i innych wyimaginowanych przywilejów. Tendencyjnemu przedstawianiu funkcjonariuszy jako ostoi minionej epoki stalinizmu tzw. betonu. Słowa te godzą w uczciwych i rzetelnych funkcjonariuszy MO".

Delegacja KKK NSZZ FMO złożyła wiązankę kwiatów przed Pomnikiem Ofiar Grudnia.

jur.

ZWIĄZKOWCY W REDAKCJI

W redakcji „Magazynu Kryminalnego 997" odbyło się spotkanie z przedstawicielami Krajowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ FMO w składzie: przewodniczący kpt. Roman Hula, wiceprzewodniczący st. sierż. rez. Jan Jabłoński i członek prezydium kpt. Lucjan Kaliszewski.

Związkowcy przedstawili wyniki prac społecznego zespołu przygotowującego projekt reformy resortu spraw wewnętrznych. Goście odpowiadali również na pytania dziennikarzy, ustosunkowując się do zgłoszonych wątpliwości i postulatów związanych zarówno z projektowanymi zmianami ustaw, jak i działalnością związkową.

KIRZ

zdj. K. Mokrzyszewski



KTO ZA PANEM STOI?

— Co Pana i Pańskich kolegów skłoniło do zajęcia się sprawami związkowymi? — z tym pytaniem zwróciłem się do przewodniczącego Krajowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ FMO **kpt. Romana Huli.**

— Działaczem związkowym zostałem z woli kolegów i podwładnych, którzy wybrali mnie na przewodniczącego Wojewódzkiego Komitetu Założycielskiego w Katowicach. Zdaję sobie sprawę z tego, że zostałem nim także ze względu na zajmowane stanowisko.

— Chodziło o większą siłę przebicia?

— Zapewne. Tak jak tysiące funkcjonariuszy MO wstąpiłem do organów z zamiłowania i chcę mieć satysfakcję z wykonywanych obowiązków. Podjęliśmy się zadania trudnego, lecz koniecznego, a to z powodu niezadowolenia z otaczającej nas rzeczywistości. Pojawiła się więc chęć oparcia naszej pracy na zdrowych zasadach.

— Wydaje się, że pracujecie pod ogromnym naciskiem tak funkcjonariuszy, jak i osób nie związanych z MO. Czy presja ta nie utrudnia wam poczynań?

— Po spotkaniu w Kiekrzu, gdzie wyłoniona została KKK NSZZ FMO, zaczęliśmy spokojniej pracować, choć teraz natłok zdarzeń zmusza do szybkiego działania. Dlatego też powołaliśmy specjalistyczne komisje, a tym samym więcej osób uczestniczy w merytorycznej pracy związku.

— Ruch związkowy coraz szerzej i głębiej przenika struktury resortu. Czy reprezentujecie już całe środowisko?

— Tworzymy związki zawodowe funkcjonariuszy MO, w przyszłości policjantów, do których nie mogą należeć ani funkcjonariusze SB, ani pracownicy cywilni. Zdajemy sobie sprawę z tego, że związek nasz nie powstanie automatycznie, jest to proces ciągły, dokonywany świadomie. Z rozwagą.

— Jak zbudować nowe struktury, gdy wielu ludzi trzeba będzie zmusić do myślenia nowymi kategoriami?

— Nie jesteśmy jeszcze, w sensie prawnym, związkiem zawodowym, ale chcemy wyprzedzić czas. Zmuszają nas do tego „doły". Spotykamy się z przychylnymi postawami przełożonych np. w WUSW w Gdańsku związkowcy traktowani są partnersko przez gen. bryg. Zbigniewa Nowickiego. Nie brakuje i takich województw, gdzie naszych ludzi nie dopuszcza się do jakichkolwiek działań. Członkowie komisji interwencyjnej reagować będą na takie sygnały.

Wiemy też, że w naszych szeregach w początkowym okresie znajdą się ludzie podszywający się pod zwolenników przemian. Ale czy łatwo jest wyplenić lizusostwo, kumoterstwo? Nie ma też co ukrywać, iż osoby, szczególnie z kierowniczych stanowisk, które nie zechcą działać w duchu przemian — muszą odejść.

— Co było dla Pana najważniejsze w ostatnim czasie?

— Powodów do optymizmu jest sporo, wielce obiecujący był początek. Zjednoczone zostały grupy inicjatywne, projekty ustaw dotyczących naszego resortu znalazły się w Sejmie. Obecnie trwa dyskusja w środowisku milicyjnym, a zadaniem komisji legislacyjnej będzie zebranie wszystkich wniosków i sformułowanie wspólnego stanowiska.

— Czy jesteście jednomyślni w najważniejszych kwestiach?

— Nie brakuje kontrowersji, ale dogadujemy się, czego dowodem choćby ostatnia uchwała podjęta przy jednym głosie przeciwnym. Dyskutujemy, kłócimy się, ale kiedy przychodzi opowiedzieć się „za" czy „przeciw", górę bierze rozsądek, a nie emocje.

— W jaki sposób został pan przewodniczącym KKK? Kto za Panem stoi?

— Nie chciałbym się wypowiadać na ten temat. Proszę zapytać o to wyborców, myślę, że obejdzie się bez sensacji...

— Doszły mnie słuchy, że funkcje rozdane były jeszcze przed wyborami. Jak zatem wyglądały wybory przewodniczącego?

— Zgodnie z zasadą przewodniczącego wybierało prezydium KKK NSZZ FMO. Zgłoszono moją kandydaturę i kpt. Ryszarda Bernackiego z Gdańska. Głosowaliśmy jawnie; Rysiek otrzymał 6 głosów (ja go również poparłem), za mną opowiedziało się pozostałych 9 członków prezydium. Bernacki pełni funkcję pierwszego zastępcy.

— Czy nie obawia się Pan, że gdy teraz narazi się Pan wpływowym ludziom, a potem np. nie zostanie wybrany, znajdzie się Pan w sytuacji nie do pozazdroszczenia?

— Wyznam od razu, zamierzam działać do czasu powstania związku, a kiedy to nastąpi, zajmę się innymi sprawami.

— Proszę powiedzieć kilka słów o sobie.

— Nie ukrywam, że działalność związkowa zabiera mi mnóstwo czasu, dzieje się to kosztem rodziny; żona Monika prowadzi punkt opieki nad dziećmi, córka Aleksandra jest uczennicą szkoły podstawowej. Byłem kierownikiem sekcji w Wydziale Kryminalnym WUSW w Katowicach, od czterech lat jestem zastępcą szefa MUSW ds. MO w Piekarach Śląskich. Zanim wstąpiłem do MO, byłem ratownikiem górniczym w kopalni im. Powstańców Śląskich oraz podoficerem zawodowym Marynarki Wojennej. Razem ze mną pływał na ORP „Grom" Henryk Cierpisz, z którym jako przewodniczącym WKZ NZZ FMO w Gdańsku spotkałem się po latach w Kiekrzu i przyszło nam ponownie działać, tym razem na lądzie.

— Dziękuję za rozmowę.

JERZY KIRZYŃSKI

DŁUGO NOSIŁEM W SERCU PANÓW MILICJANTÓW...

Rozmowa z księdzem kanonikiem HENRYKIEM JANKOWSKIM, proboszczem parafii św. Brygidy w Gdańsku.

– W „Dzienniku Bałtyckim", z datą 14 grudnia 1989 r., ukazał się podpisany przez ks. Henryka Jankowskiego list, którego fragment zacytuję: „Drodzy Bracia Milicjanci, w 19 rocznicę tragicznych wydarzeń grudniowych na Wybrzeżu, w których poniósł śmierć funkcjonariusz MO, serdecznie zapraszam do kościoła św. Brygidy na Uroczystą Mszę Żałobną w Intencji Ofiar w dniu 17 grudnia o godzinie 11.00". Czy zechciałby Ksiądz powiedzieć, jak doszło do tego spotkania?

— Ja panów milicjantów bardzo długo nosiłem w sercu, czekałem jedynie na odpowiednią okazję, na właściwą atmosferę. Sytuacja dojrzała w grudniu, stwierdziłem, że jest już inna — rokująca nadzieje — platforma polityczna. Jeszcze 9 grudnia wieczorem przemyśliwałem — ogłosić czy nie. Nikogo bowiem nie chciałem narazić na jakiekolwiek przykre konsekwencje, z którymi mimo wszystko można się było liczyć. Zdawałem sobie sprawę, że panowie w mundurach mają rodziny i dzieci. Obawiałem się, by ktoś nie zrobił z tego niepotrzebnego „hallo". Ostatecznie jednak uznałem, że to musi nastąpić i w niedzielę ogłosiłem zaproszenie w kościele, czekając na reakcję. Potem ukazał się komunikat prasowy.

— Wyciągnięta przez Księdza dłoń nie trafiła w pustkę?

— Zaproszenie zostało przyjęte od razu. Ogromnie cieszyłem się, że się panowie zgłosili. Nie nakaz, nie rozkaz o ich wizycie zdecydował, lecz potrzeba serca. To wspaniałe. Nie spotkaliśmy się po to, by konsultować teksty, ale pomówić o wspólnych nadziejach i oczekiwaniach. Wiedziałem zresztą, że istnieje grunt porozumienia choćby z wcześniejszych i wcale nierzadkich rozmów z różnymi funkcjonariuszami, którzy zapewniali mnie „jesteśmy z księdzem, myślimy tak jak ksiądz".

— Jaka główna myśl przyświecała czynionym przez Księdza staraniom?

— Wypominanie dzisiaj nic nie daje. Pragnąłem przywrócić mundurowi milicyjnemu powagę, autorytet i aprobatę społeczną. Bez milicji nie damy sobie rady, a może ona być optymistycznie widziana na przyszłość jako policja narodu i państwa. Muszą w tym resorcie nastąpić spore poprawki, konieczna jest na przykład zmiana statusu SB, gdyż niedopuszczalne jest takie, jak dotychczas, wkraczanie w życie prywatne jednostek.

Kierując się wyłącznie stroną humanitarną stwierdzam, że ludzie ciężkiej, odpowiedzialnej i niezbędnej służby zostali w wyniku indoktrynacji wystawieni przez system poza nawias społeczeństwa. Nadszedł czas odmiany. Nadszedł czas, aby odnaleźć tożsamość i móc stać się policjantem z powołania, pełniącym służbę z najszczytniejszych pobudek, podobnie jak czyni to kapłan.

— Czy nie ma Ksiądz uczucia goryczy bądź żalu? Niejeden raz przecież zło triumfowało w minionych latach.

— Te uczucia są mi obce. Pozostawiam małe rzeczy za sobą, a przechodzę ku większym. Wybaczyłem tym chłopcom, którzy się upili i weszli do kościoła, zakłócając atmosferę powagi. Oni zrozumieli swój błąd i przeprosili parafian, szkoda więc, że sąd nie odstąpił od karania ich. Wiem, że wypisywano różne nieprawdopodobne rzeczy na mój temat, podając między innymi, że w czasie okupacji hitlerowskiej wygłaszałem kazania wyłącznie po niemiecku, a ja byłem wtedy... kilkuletnim chłopcem. Wiem, ile przykrości miał z powodu duchownego w rodzinie mój kuzyn i chrześniak — kapitan milicji. Ale pamiętam również, że włamania, które się tu nam przydarzały, panowie milicjanci obsługiwali z wielką kulturą. Podaję tylko przykłady



najbliższe i najlepiej znane, gdyż związane z moją osobą.

Na pewno jako Polak muszę znać i pamiętać historię, ale dla przyszłości trzeba szukać dróg pojednania.

— 15 grudnia złożył Ksiądz wizytę w II Komisariacie MO przy ul. Piwnej.

— Chętnie przyjąłem zaproszenie. Zobaczyłem w jak ciężkich warunkach ci ludzie pracują, w ciasnocie, przy braku podstawowego sprzętu, w ponurym budynku wymagającym natych-

dokończenie na s. 4

MUSIMY BYĆ WOLNI

Dla widzów oglądających pewnego grudniowego wieczora telewizyjne „Wiadomości" była to wielkie zaskoczenie. Milicjanci w pełnej gali mundurowej uczestniczący w mszy świętej w intencji funkcjonariuszy MO? Jeszcze niedawno wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne...

Jakkolwiek opinię odbiorców zdominował ton radości i zrozumienia, nie zabrakło też pojedynczych głosów sceptycznie lub negatywnie odnoszących się do tego, czego byliśmy świadkami. Jak zwykle pojawiły się i plotki. Podług jednej z nich młody oficer, który wygłaszał oświadczenie, został natychmiast wyrzucony z milicji, inna zaś plotka głosiła, że człowiek w mundurze porucznika to... aktor z teatru „Wybrzeże". Aby zdementować podobne „rewelacje", proponuję, by mój rozmówca sam zechciał się przedstawić.

— Porucznik Andrzej Kaszubowski, zastępca komendanta IV Komisariatu MO w Gdańsku-Oliwie, wiceprzewodniczący prezydium Wojewódzkiego Komitetu Założycielskiego Niezależnych Związków Zawodowych MO. Mam 32 lata, jestem żonaty, wychowujemy 5-letniego synka Michała i 14-letnią osieroconą bratanicę żony. Niedawno rozpocząłem 11 rok służby w milicji.

— Skoro już upewniliśmy się, że nie jest Pan „przebierańcem", chcielibyśmy usłyszeć coś więcej o Pana drodze zawodowej.

— Po ukończeniu technikum mechaniczno-elektrycznego znalazłem ciekawą pracę w gdańskim „Elektromontażu", potem było wojsko, skąd wyniosłem wspomnienia złe na tyle, że nie chciałem po wyjściu do cywila przywdziewać już nigdy munduru. Chociaż kuszono. Możliwością podjęcia studiów, dobrymi warunkami, i to zarówno w milicji, jak w wojsku. Tymczasem ja zdecydowałem o powrocie do „Elektromontażu". Byłem zadowolony, ale też i nie potrafiłem odrzucić ostatecznie tamtych propozycji. Ku memu zaskoczeniu ojciec, który całe życie przepracował w Stoczni Gdańskiej, i — jak mi się wydawało — nie darzył specjalną sympatią organów porządku, powiedział: „A dlaczego nie miałbyś pójść? Tyle jest zła wokół, trzeba z nim walczyć".

Gdy zgłosiłem się jesienią 1979 roku do kadr, nie miałem większego pojęcia o tej pracy, wpływ na jej wizerunek miały co najwyżej lektury i filmy kryminalne. Zaproponowano mi etat w komisariacie lotniczym, ale ja nawet za cenę znacznie cięższych obowiązków wolałem być bliżej życia i głównego nurtu milicyjnej służby — praca operacyjna w wydziale kryminalnym komendy miejskiej to było coś dla mnie. „Po drodze" ukończyłem szkołę podoficerską w Słupsku i wyższą oficerską w Szczytnie, byłem kierownikiem sekcji włamań i kradzieży, a w 1987 roku powierzono mi obecne stanowisko.

W porównaniu z najbardziej obciążonymi pracą komisariatami, nie mamy aż takiego nawału zadań, ale i tak jest ciężko. Ponieważ brakuje ludzi i na technika kryminalistyki z MUSW

dokończenie na s. 4



DWUGŁOS O POJEDNANIU • DWUGŁOS O POJEDNANIU • DWUGŁOS O POJEDNANIU

DŁUGO NOSIŁEM W SERCU PANÓW MILICJANTÓW...

dokończenie ze s. 3

miastowego odmalowania. Biednie to wygląda, aż dziwne, że władza ludowa tak nie troszczyła się o pracownika. Ujrzałem też zbryzgane krwią ściany, wyjaśniono mi, że dobę wcześniej zatrzymany włamywacz - narkoman, chory na AIDS, tak straszył „sobą" obecnych milicjantów.

— Bezradnych w tej sytuacji, dodajmy, gdyż nie wyposażonych w odpowiednie środki. I Ksiądz zainteresował się tym natychmiast.

— Zatelefonowałem do służby maltańskiej i w ciągu dwóch dni przywieziono 4 tysiące par rękawic oraz 40 litrów koncentratu płynu odkażającego, z którego można otrzymać 8 tysięcy litrów tegoż płynu.

— Cenny dar został przyjęty z ogromną wdzięcznością i podzielony między milicyjne jednostki.

— W następnej kolejności zamierzam sprowadzić specjalną odzież ochronną i obuwie. Panowie milicjanci mają dużo potrzeb, należy więc im pomóc.

— W wygłoszonym 17 grudnia kazaniu powiedział Ksiądz: „Niech mundur milicjanta nie będzie barierą w akcie pojednawczym. Kochajcie naród, kochajcie człowieka. Szczęść wam Boże w waszej pracy..." Jak słowa te i cała uroczysta msza święta zostały odebrane przez uczestników?

— Widziałem łzy w oczach, a łez nie musimy się wstydzić, przeciwnie — one podnoszą walory człowieka. A poza tym to do dziś procentuje aprobatą społeczną. Znam głosy posłów, senatorów wyrażające radość z tego, co stało się tutaj. Chciałbym wyrazić wielkie uznanie pod adresem gdańskich funkcjonariuszy, którzy budują Nowe na tym fundamencie.

— Bardzo dziękuję Księdzu za rozmowę.

JOLANTA ŚLIFIERZ

MUSIMY BYĆ WOLNI

dokończenie ze s. 3

czeka się wiele godzin, sam do niedawna jeździłem obsługiwać zdarzenia w tej właśnie roli. Do czasu rozpoczęcia działalności związkowej...

— ... której oddaje się Pan z pasją i — podobnie jak koledzy — bez spoglądania na zegarek.

— Jest to sprawa mogąca zintegrować środowisko w walce o uzdrowienie sytuacji. Moje pierwsze doświadczenia związkowe sięgają roku 1981, kiedy i do naszych szeregów dotarł ożywczy powiew odnowy. Tylko młodemu wiekowi i krótkiemu stażowi służby zawdzięczam, jak sądzę, fakt, że nie podzieliłem losu usuniętych z milicji za taką działalność. W październiku ubiegłego roku pojechaliśmy jako delegaci z Gdańskiego — por. Krzysztof Zgłobicki i ja — do RUSW w Malborku, gdzie na spotkaniu z innymi funkcjonariuszami mówiło się o narastającym niezadowoleniu i jego przyczynach, o masowych wręcz odejściach z milicji, o wyczekującej postawie „góry". Takie były początki. A teraz? — cieszę się, że mam wyrozumiałą żonę, która wspiera mnie i godzi się z tak rzadką obecnością w domu.

— Wróćmy do pamiętnego 17 grudnia 1989 r., kiedy to w kościele św. Brygidy w Gdańsku odbyła się msza święta celebrowana przez ks. Henryka Jankowskiego. Czy pamięta Pan treść swego oświadczenia?

— Oczywiście. „Solidaryzując się ze słowami wypowiedzianymi przez księdza proboszcza w liturgii pojednania chcę oświadczyć, że my, funkcjonariusze milicji, przybyliśmy tutaj nie tylko na zaproszenie, ale także i przede wszystkim z potrzeby serca, aby właśnie w tej świątyni zamanifestować wolę pojednania, wolę pracy i służby w obronie praw człowieka. Bracia i Siostry, prosimy o zrozumienie i przyjęcie znaku pokoju jako gestu i symbolu wzajemnego wybaczenia i pojednania. W imię Chrystusa jesteśmy z Wami".

To, że uniosłem ręce z palcami ułożonymi w kształt litery „V", nie było wcześniej planowane. Po prostu czułem, że muszę to zrobić. Niezwykła atmosfera, niezapomniane przeżycie, wzruszenie, poczucie zbratania towarzyszyły wszystkim zebranym. Gdy potem szliśmy z wiązankami kwiatów w gęstym szpalerze ludzi przed pomnik poległych, były oklaski, „sto lat", okrzyki „nareszcie z nami", mnóstwo wyciągniętych przyjaźnie rąk. Warto było doczekać takich chwil.

— A jak traktował Pan sam fakt uczestniczenia w mszy świętej?

— Był dla mnie czymś zupełnie naturalnym, wywodzę się z katolickiej rodziny. Uważam, że funkcjonariusz musi być wolny, wolny również w okazywaniu swych uczuć, a światopogląd winien być jego prywatną sprawą. Hipokryzja w tym względzie wykazywana musi odejść do lamusa. Funkcjonariusz ma dość stresów wynikających z samego charakteru służby, nie dokładajmy ich jeszcze.

— Dzięki telewizji stał się Pan osobą popularną, a Pana twarz znana.

— Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się tego rozgłosu. No cóż, wiele osób rozpoznawało mnie na ulicy, pozdrawiało, dostałem moc życzeń świątecznych oraz noworocznych. I tylko jeden anonim pełen inwektyw, z propozycją ogłoszenia mnie nowym świętym...

rozmawiała
JOLANTA ŚLIFIERZ
zdj. K. Mokrzyszewski

INCYDENT NA CENTRALNYM



Na wszystkich dworcach świata spieszą się podróżni, a gdy się spieszą, nie pamiętają o ostrożności. Dlatego wszystkie dworce świata są ulubionym miejscem „pracy" złodziei kieszonkowych. Warszawski „Centralny" nie jest wyjątkiem. Komisariat kolejowy MO rejestruje tu rocznie około 800 kradzieży kieszonkowych. Tyle jest zawiadomień o przestępstwach, a biorąc pod uwagę fakt, że wielu pokrzywdzonych nie zgłasza o fakcie ich okradzenia, liczba ta jest z pewnością większa.

Zdarzenie, jakie miało miejsce na Dworcu Centralnym w niedzielę 14 stycznia, było więc jednym z wielu. Tyle tylko że ofiarami „doliniarzy" zostali tym razem trzej amerykańscy przedstawiciele Banku Światowego, którzy przybyli do Polski na zaproszenie Ministerstwa Gospodarki Przestrzennej i Budownictwa. Wraz ze swoim polskim opiekunem z tegoż ministerstwa eksperci wyjeżdżali owego dnia z Dworca Centralnego pociągiem „Tatry" o godz. 6.15 do Krakowa. Sytuacja była wręcz klasyczna: ścisk przy wsiadaniu, zamieszanie, potem tłok na korytarzu, którym trzeba było przecisnąć się do przedziału. Jeden z Amerykanów pamięta, że w czasie wsiadania do wagonu zsunęła mu się z ramienia torba, drugi — że przeciskając się wśród tłumu w wagonie przechodził obok czterech mężczyzn, z których jeden wyraźnie blokował go biodrem. Fakt ten skojarzył parę minut później, gdy znalazłszy się w przedziale stwierdził brak portfela z zawartością 200 dolarów, 400 000 złotych, kart kredytowych, kart linii lotniczych i innych dokumentów. Wówczas dopiero okazało się, że okradzeni zostali również jego koledzy. Jeden stracił portfel z zawartością 100 dolarów i dokumentów, drugi walkmana marki Sony. Jak widać złodzieje celowali dobrze, obrabiając tylko zagranicznych pasażerów, kieszeniami ich polskiego przewodnika nie interesując się zupełnie.

W czasie podróży jeden z Amerykanów odtworzył z pamięci wygląd i naszkicował profil mężczyzny, który „blokował go biodrem". Dojechawszy na miejsce pokrzywdzeni zgłosili o fakcie kradzieży w DUSW Kraków-Śródmieście. Sporządzono protokoły zawiadomienia o przestępstwie i przesłuchano ich. DUSW Kraków-Śródmieście telefonogramem poinformował o zdarzeniu Komisariat MO na Dworcu Centralnym w Warszawie. Natychmiast po tej informacji służby patrolowe wzmogły działania penetracyjne na dworcu. Skutecznie, bo w ich wyniku znaleziono w koszu na śmieci stojącym na IV peronie dokumenty jednego z Amerykanów.

W poniedziałek rano komendant komisariatu kolejowego MO kpt. Włodzimierz Tunicki zadzwonił do MSZ z prośbą, aby okradzeni cudzoziemcy wzięli udział w okazaniu albumów, zawierających fotografie rejestrowanych w milicyjnych kartotekach kieszonkowców. Pokrzywdzeni odpowiedzieli przez swego opiekuna, że szkoda na to czasu, całą sprawę traktują jedynie jako przykry, ale drobny incydent i nie ma powodu robić z tego problemu. Mimo to na polecenie komendanta referent dochodzeniowy z komisariatu udał się do MSZ ze wspomnianym albumem, aby na miejscu cudzoziemcy mogli się z nim zapoznać. Okazano im 300 zdjęć, ale nie rozpoznali na nich żadnego ze sprawców.

Najlepszy w SUSW znawca środowiska warszawskich kieszonkowców kpt. Bogdan Iżycki skorzystał zapewne z rysopisu i rysunku, jaki sporządził jeden z pokrzywdzonych, ale i tak szanse znalezienia sprawców są prawie żadne. Złodziei kieszonkowych można nie dopuścić do roboty, odstraszyć, w najlepszym wypadku złapać na gorącym uczynku, ale udowodnić im kradzież po upływie czasu to rzecz praktycznie niemożliwa. Rozumieją to sami pokrzywdzeni, ale gospodarzom mimo wszystko wstyd...

ELŻBIETA SITEK

MILICJA INFORMUJE

(wybór zdarzeń kryminalnych)

ZABÓJSTWA

● 7 stycznia 1990 r. w Krakowie o godz. 22.00 na klatce schodowej domu przy ul. Daszyńskiego ujawniono częściowo obnażone zwłoki nieznanej kobiety w wieku 40 lat. Według opinii lekarza zwłoki były przeniesione z innego miejsca.

● 8 stycznia RUSW w Radomiu został powiadomiony, że w mieszkaniu Stefana L. w Janiszewie znajdują się zwłoki taksówkarza Józefa S. Milicja ustaliła, że napadło na niego trzech nieznanych sprawców. Ranny Józef S. o własnych siłach dotarł do domu Stefana L. i tam zmarł na skutek doznanych obrażeń.

● 10 stycznia br. w Piławie Górnej (wałbrzyskie) we własnym mieszkaniu znaleziono zwłoki Michaliny R. (lat 86) z ranami zadanymi tępym narzędziem. Milicja ustaliła i zatrzymała sprawców. Są nimi Andrzej A. (lat 32), nie pracujący oraz Józef B. (lat 37). Obydwaj uprzednio karani.

● 14 stycznia we Wrocławiu przy ul. Chorzowskiej znaleziono zwłoki Stanisława S. — portiera przedszkola. Na jego ciele ujawniono rany kłute. Pomieszczenia przedszkolne zostały splądrowane.

NIEBEZPIECZNE NAPADY

● 7 stycznia w Warszawie przy ul. Zachariasza trzech mężczyzn dokonało napadu na Stanisława S. Sprawcy po wtargnięciu do mieszkania zagrozili właścicielowi nożem, kazali mu się rozebrać do naga, po czym ostrzygli mu głowę nożyczkami i maszynką do golenia. Następnie zrabowali telewizor, zegarek i 3600 zł.

● 9 stycznia RUSW w Rzeszowie został powiadomiony o napadzie rabunkowym dokonanym 4 stycznia rano na osobie Danuty K. Nieznany sprawca zaatakował ją na ulicy i usiłował wyrwać jej torebkę. Spotkawszy się z oporem wylał na twarz kobiety żrący środek chemiczny. Danuta K. doznała rozległych poparzeń twarzy oraz szyi i przebywa w szpitalu.

● 11 stycznia w Sochaczewie młody człowiek sterroryzował nożem uda-

PASAŻ W OGNIU



„Bonanza w Śródmieściu" — tak nazwał „Express Wieczorny" użycie broni przez funkcjonariuszy MO w sobotę, 13 stycznia br. „Życie Warszawy" zaatakowało wprost milicjantów, że bez potrzeby użyli broni, raniąc przy tym przypadkowych przechodniów. Więcej powściągliwości wykazała „Gazeta Wyborcza", podając suche fakty o napadzie bandy młodzieżowej na milicjantów.

A jak było naprawdę? Najlepiej wie o tym starszy dzielnicowy chor. Zdzisław Wiśniewski z XVII Komisariatu MO przy ulicy Widok w Warszawie, który opiekuje się od ponad 20 lat tym rejonem, ograniczonym Alejami Jerozolimskimi, Kruczą, Kniewskiego i pasażem śródmiejskim. Oddajmy więc mu głos.

— Tego dnia, w sobotę 13 stycznia, przyszedłem do służby już o godz. 8.00, mimo że miałem zaplanowany nocny dyżur od godziny 22.00. W sobotę kolejka była do mnie jak po chleb. Do godziny 16.00 protokołowałem, przesłuchiwałem, okazywałem. Później pojechałem do domu, przespałem się trochę, wróciłem do komisariatu na godzinę 20.00. Miałem do wykonania jeszcze trzy wywiady środowiskowe dla sądu i komornika, załatwiłem je do godz. 22.00. Następnie dokonałem odprawy patroli skierowanych z jednostek centrali resortu spraw wewnętrznych do służby w naszym komisariacie. 24 oddelegowanych funkcjonariuszy, głównie ze Służby Bezpieczeństwa, to duża pomoc, z tym że przydatni są na razie jedynie w służbie patrolowej.

Około godziny 23.30, ubrany w mundur, wyszedłem w rejon. Tuż przy barze „Wygodny" spostrzegłem szamotaninę. Okazało się, że 6 młodzieniaszków nie chciało dać się wylegitymować trzem naszym z patrolu po cywilnemu. Na widok munduru spokornieli i wyciągnęli legitymacje szkolne. Pouczyłem chłopców, taka zabawa może im kiedyś wyjść bokiem. Obiłem rundkę po rejonie i wyszedłem na pasaż. Zauważyłem, że jakiś młokos jeździ małym fiatem wokół gabloty wystawowej na wysokości ulicy Kniewskiego, a dziewczyna stoi na chodniku i śmieje się z tego do rozpuku. Na próbę zatrzymania kierowca zareagował błyskawicznie. Dodał gazu i znikł w ulicy Kniewskiego. Poprosiłem przepisowo dziewczynę o dokumenty. Arogancko odparła, że nic nie będzie pokazywała, bo nie ma. „Wyjaśnimy w takim razie sprawę w komisariacie" — orzekłem. Dziewczyna nie chciała iść, ale przypadkowo przechodził znany mi kpr. Tadeusz Paluszek z BOR i sam zadeklarował pomoc. Wówczas dziewczyna wyciągnęła z torebki swój miesięczny bilet autobusowy i razem udaliśmy się w kierunku komisariatu.

Było około godz. 0.30, gdy naprzeciwko wyszli trzej funkcjonariusze w cywilu ze służby patrolowej. Nagle z tyłu słyszymy jakieś odgłosy. Jak spod ziemi wyrosła około dwudziestoosobowa grupa młodzieży. Kilku z nich trzymało w rękach butelki, jeden swoją rozbił i wymachiwał ostrą szyjką. Tekst, który usłyszałem, zmroził nas wszystkich, czegoś takiego będąc w mundurze nie doświadczyłem nigdy. Jeden z nich, kreując się na przywódcę, wykrzyknął: „Puść ją ch... bo jak nie, to ci kosę sprzedam". Ich ruchy i zachowanie nie pozostawiały wątpliwości co do zamiarów. Szeptem wydałem polecenie: „Pałki i gaz w ręce, i zdecydowanie ruszamy na nich". Zaskarżowaliśmy i udało się ich rozproszyć. Paru zarobiło po plecach, kilku powąchało gazu i wydawało się, że awantura się skończyła. Zatrzymaliśmy jednego z tych „kozaków". ale po drodze do komisariatu zaczął popłakiwać, zrobiło mi się go żal i kazałem mu zmykać do domu.

Poszedłem do komisariatu sporządzić notatkę z zajścia, protokół użycia gazu i pałki, a ta trójka z patrolu i kpr. Paluszek udali się na pasaż, celem dalszej penetracji terenu. Po niecałych 10 minutach jeden z nich wpadł jak burza do komisariatu i krzyczy: „Szybko, pogotowie, nasz człowiek został postrzelony!". Dyżurny wezwał pogotowie, a my pobiegliśmy na miejsce zdarzenia. Zastałem leżącego na ziemi, postrzelonego w nogę, z całkowicie zakrwawioną twarzą kpr. Paluszka i dwóch tych, co próbowali odbić dziewczynę. Taka jest cała prawda.

Relację uzupełnia kpr. Tadeusz Paluszek, którego znajduję na oddziale ortopedycznym CSK MSW przy ulicy Komarowa.

— Mimo że spieszyłem się do domu, postanowiłem jeszcze pomóc kolegom. Szliśmy pasażem i na wysokości ul. Rutkowskiego spotkaliśmy grupkę młodych ludzi. Część z nich była w skórzanych kurtkach, z wygolonymi głowami. Usłyszałem okrzyki: „Gonić ich, sk..." i z tej grupki wybiegł w naszym kierunku jakiś chłopak. Niespodziewanie otrzymałem cios metalową rurką w głowę. Zamroczyło mnie na chwilę, zalałem się krwią, jak przez mgłę widziałem, jak pozostali napastnicy wyciągnęli metalowe anteny samochodowe. Nie mieliśmy możliwości odwrotu, bo zaszli nas ze wszystkich stron. St. chor. Leszek Gromadka wezwał tę około dwudziestoosobową grupę do spokoju i oddał dwa strzały ostrzegawcze w górę. To ich tylko rozjuszyło. Padły więc kolejne strzały pod nogi napastników. Chorąży Leszek Gromadka wystrzelał cały magazynek, strzelił więc ze swojej broni drugi z funkcjonariuszy z patrolu. Dwóch napastników przewróciło się i to powstrzymało atak. Jeden z nich został ranny w pachwinę, drugi w kostkę. Niestety rykoszet pod kątem 90 stopni trafił też mnie w kość piszczelową, przebijając ją na wylot. Gdyby nie użycie broni, zatłukliby nas na pewno. Wiem, że dwóch postrzelonych, od których pobrano krew, było w stanie nietrzeźwym. Nasza czwórka i dzielnicowy była również sprawdzana na alkomacie — wynik zerowy. Dlatego dziwią mnie niektóre enuncjacje prasowe o niepotrzebnej strzelaninie. Czy należało dać się zabić?

ZYGMUNT PODHORODECKI
zdj. arch.

OGŁOSZENIA!

Redakcja „Magazynu Kryminalnego 997" przyjmuje do druku ogłoszenia. Można je składać w siedzibie redakcji lub nadsyłać pocztą pod adresem: 00-896 Warszawa, ul. Ogrodowa 28/30.

Wpłatę można przekazać osobiście lub przesłać przekazem pocztowym według wyliczenia 3000 zł za słowo lub 6000 zł za cm².

Treść ogłoszenia można umieścić na odwrotnej stronie odcinka dla adresata lub przesłać w kopercie z dopiskiem „Ogłoszenia".

UWAGA CZYTELNICY!

Z datą 18 lutego 1990 roku ukaże się czwarty numer „MK 997". Na jego łamach odnajdziecie kolejny „Sezam 997", reportaże o pracy milicji, kryminały nowe i retro, materiały o przestępczości w świecie i pracy policji zagranicznych. Reporterzy naszego pisma dotarli nawet do CELI ŚMIERCI.

Nasze hasło: **Z MAGAZYNEM KRYMINALNYM BEZPIECZNIEJ**. Czytajcie czwarty numer „MK 997"!

UWAGA PRENUMERATORZY!

Przypominamy, iż zgodnie z zapowiedzią wpłaty półroczne i roczne dokonane w 1989 roku przez kolporterów z jednostek MSW i MON oraz zakładów pracy i instytucji stanowiły zaliczkę na poczet prenumeraty „MK 997" w 1990 roku. Wpłaty półroczne pokrywają koszt prenumeraty w I kwartale. Toteż wszyscy prenumeratorzy półroczni pragnący korzystać z prenumeraty zbiorowej w II kw. 1990 roku powinni wpłacić swemu kolporterowi odpowiednią kwotę. Koszt prenumeraty: 6500 złotych. Zamówienia należy kierować pod adresem: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centralny Kolportaż Wojskowy, ul. Wronia 29/31, 00-950 Warszawa, skr. poczt. 2039. Konto:

CKW w PBK XIII O/Warszawa nr 370044-001632.
Termin wpłat: 10 marca 1990 roku.

CKW nie przyjmuje wpłat na prenumeratę indywidualną.

„WART–SERWIS"
Spółka z o.o.
04-133 Warszawa,
ul. Łukowska 17/34, tel. 13-74-66

poszukuje kandydatów na dyrektorów oddziałów spółki w miastach wojewódzkich, najchętniej byłych funkcjonariuszy, inspektorów kryminalnych, dochodzeniowych i ruchu drogowego.

(D-1)

jącą się do szkoły Beatę P. (lat 16), wciągnął ją do altanki, gdzie dokonał czynów lubieżnych, po czym ją okradł. Przed wypuszczeniem okaleczył pokrzywdzonej piersi i okolice krtani. Milicja zatrzymała sprawcę, Artura S. (lat 15), ucznia, uprzednio skazanego przez sąd ds. nieletnich.

● 15 stycznia o godz. 17.30 w Świdnicy Piotr T. przenoszący utarg dzienny z kantoru wymiany walut do sejfu został obezwładniony na rynku środkiem chemicznym i uderzeniami w głowę. W zrabowanej mu kasetce była waluta obca i złotówki łącznej wartości blisko 26 mln zł.

PO KILOGRAM SMALCU

● 16 stycznia w nocy dwóch mężczyzn dokonało w Mielcu napadu na mieszkanie Bolesława Z. Właściciela pobito, po czym zrabowano mu 8 tys. zł, siekierę i kilogram smalcu. Milicja zatrzymała sprawców. Są nimi uprzednio karani Tadeusz B. i Wiesław Ch.

KOŚCIOŁY ZAGROŻONE

● 6 stycznia 1990 r. o godz. 23.40 Komisariat MO w Gniewinie (gdańskie) został powiadomiony o demolowaniu cmentarza i plebanii. Przy pomocy mieszkańców wsi funkcjonariusze zatrzymali Sylwestra B. (lat 21), którego osadzono w areszcie. Uszkodził on 16 nagrobków oraz drzwi wejściowe i przedsionek do plebanii.

● 9 stycznia br. w Chrzanowie dokonano włamania do pomieszczeń gospodarczych nowo zbudowanego kościoła. Funkcjonariusze MO zatrzymali na gorącym uczynku Stanisława F. (lat 22), nie pracującego, którego osadzono w areszcie.

● 10 stycznia br. w Głuchołazach (opolskie) ujawniono kradzież z kościoła. Sprawców: Zdzisława B. (lat 52) i Andrzeja P. (lat 26), nie pracujących, zatrzymała milicja.

KSIĘŻA W ROLI POLICJANTÓW

● 13 stycznia o godz. 14.15 z kościoła katedralnego w Przemyślu skradziono 2 obrazy wartości około 2 mln zł. W wyniku pościgu księży sprawca został zatrzymany. Jest nim Marek J. (lat 33). Był on pod wpływem alkoholu.

OKRADZIONY BISKUP

● 11 stycznia o godz. 9.00 w Zakopanem ujawniono włamanie do samochodu „Toyota", który był zaparkowany przed Domem Konferencji Episkopatu Polski. Nieznani sprawcy po wybiciu szyby wywietrznika skradli radiomagnetofon wartości około 2 mln zł na szkodę biskupa Adama O.

ZDEWASTOWANY CMENTARZ

● 17 stycznia o godz. 11.00 w Warszawie na terenie Cmentarza Prawosławnego przy ul. Wolskiej ujawniono 52 zniszczone płyty nagrobkowe i przewrócone 10 krzyży na nagrobkach zmarłych różnych wyznań (w części tego cmentarza znajduje się kwatera rzymskokatolicka). Wstępne straty oszacowano na 40 mln zł. Sprawcy zostali zatrzymani.

BIJĄ MILICJANTÓW

● 13 stycznia o godz. 0.30 w Lublinie na ul. Olchowej pełniący służbę patrolową po cywilnemu st. sierż. Stanisław Zagórka i kpr. Jerzy Walczuk zostali zaatakowani przez grupę około 10 młodych mężczyzn będących pod wpływem alkoholu. Mimo ostrzeżenia, że napadnięci są funkcjonariuszami MO, pobito ich. St. sierż. S. Zagórka oddał strzał ostrzegawczy, milicjantom pospieszyli z pomocą obywatele. 4 napastników zatrzymano.

AMNESTIONOWANI WRACAJĄ DO WIĘZIENIA

● 5 stycznia w Oleśnie (częstochowskie) ujawniono włamanie do sklepu galanteryjnego Marianny K. Sprawcy po wybiciu szyby skradli odzież wartości 3 mln zł. W bezpośrednim pościgu funkcjonariusze MO zatrzymali Arkadiusza M. (lat 31), zwolnionego z zakładu karnego na mocy amnestii i Andrzeja K. (lat 29) i odzyskali większość łupu.

● 12 stycznia br. na polu w miejscowości Szczuka (toruńskie) ujawniono zwłoki Bożeny D. (lat 26). Ustalono, że zgon nastąpił na skutek zadzierzgnięcia. Milicja zatrzymała sprawcę. Jest nim Eugeniusz W. (lat 24), zwolniony 12 grudnia ub. roku na mocy amnestii z zakładu karnego.

oprac. MAT.

POŻEGNANIE

Na cmentarzu Bródnowskim w Warszawie odbył się pogrzeb redaktora Alfreda Nowakowskiego, długoletniego współpracownika naszej redakcji. Żył 75 lat.

Był dziennikarzem, a od pewnego czasu Jego specjalnością były gry i rozrywki umysłowe. Twórczość Jego pracowitego życia ukazywała się w wielu dziennikach, tygodnikach i innych wydawnictwach.

W ostatniej drodze Alfredowi Nowakowskiemu obok Jego rodziny towarzyszyli liczni przedstawiciele prasy polskiej.

Cześć Jego pamięci!



997

KRONIKA

pod redakcją
JANA PŁOCIENNICZAKA
i TADEUSZA NOSZCZYŃSKIEGO

■ Dzięki pomocy telewidzów po raz kolejny udało się wyjaśnić kilka zagadek kryminalnych. Reakcja na ostatni program z cyklu „997" była rekordowa tak pod względem liczby napływających informacji, jak i ich wartości. Dzięki nim udało się zatrzymać poszukiwanego w Warszawie bandytę Artura Stachlewskiego, który, przesiadując wraz z kolegami w kawiarni „Fenix", planował coraz to nowe i bardziej bestialskie napady na przygodnych przechodniów, a później na mieszkania swoich znajomych, kradnąc, bijąc i kalecząc. W KG MO pojawiło się ponadto wielu pokrzywdzonych, którzy do tej pory nie zgłaszali napadów.

Z kolei w Krakowie zatrzymano poszukiwanego mordercę, który we wrześniu ub. roku wraz z kolegą (także już zatrzymanym) napadł na Andrzeja Świebodę, byłego członka zespołu „Mortale" i zadał mu kilka śmiertelnych uderzeń w głowę. Po zatrzymaniu tego bandyty wyszło na jaw, że ma on na swoim koncie jeszcze inne przestępstwa. Między innymi napad w celach rabunkowych na gospodynię proboszcza w Łapczycach w woj. tarnowskim. Kobieta ta zmarła w szpitalu kilka dni po pobiciu. Przy zatrzymanym znaleziono pistolet gazowy typu Colt 45 Me 8 General pożyczony od mieszkańca Zakopanego. Właściciela tegoż pistoletu prosimy o kontakt.

Dzięki informacjom od Państwa udało się także ustalić personalia mężczyzny zamordowanego 26 września ub.r. przy Alejach Jerozolimskich w Warszawie. Jest nim Jerzy Studziński z Pisza, który 2 tygodnie przed tragedią przyjechał w okolice Warszawy i zatrudnił się w Markach. Miejmy nadzieję, że informacje te pozwolą ustalić również sprawcę zbrodni.

Sprawa zaginięcia Renaty Frankowskiej z Kartuz 26 sierpnia 1987 r. także została wyjaśniona. Niestety, okazało się, że kobieta ta nie żyje. Jej szkielet znaleziono w lesie pod Płockiem, do którego to miasta krytycznego dnia wyjechała wraz z narzeczonym. Pochowano ją wówczas jako osobę nieznaną. Obecnie prowadzone jest śledztwo w sprawie zabójstwa.



W telewizyjnym studiu pojawił się prokurator rejonowy z Elbląga i zaapelował o pomoc w śledztwie w sprawie śmierci księdza Sylwestra Zycha 11 lipca ub.r. w Krynicy Morskiej. Wszyscy świadkowie, którzy od 5 do 11 lipca widzieli prezentowane niżej na portretach pamięciowych osoby, proszone są o kontakt.





Poszukiwany mężczyzna przebywał w towarzystwie księdza S. Zycha w barze „Riviera" w nocy z 10 na 11 lipca. Był w wieku 40—45 lat, krępej budowy ciała, miał długie, szpakowate, czesane do góry włosy i ciemne wąsy. Często tego wieczoru podchodziła do niego zaprezentowana wyżej na portrecie pamięciowym kobieta w wieku 20—23 lata, szczupła, 160—165 cm wzrostu o ciemnych włosach spadających na ramiona. Na szyi nosiła łańcuszek z bursztynową broszką. Ktokolwiek przypomina sobie jedną z tych osób proszony jest o kontakt z Prokuraturą Rejonową w Elblągu lub najbliższą jednostką MO.

A teraz już sprawy nowe.

ŚMIERĆ WŁÓCZĘGI

31 lipca ub.r. około godziny 19.00 w Szczecinie jeden z obywateli tego miasta zgłosił się w komisariacie milicji i oznajmił, że przed chwilą został pobity przez kilku nie znanych mu osobników pijących piwo w okolicy tzw. podkowy w parku im. Kasprowicza. Na miejsce zdarzenia udali się dwaj funkcjonariusze MO. Penetrując teren wspólnie z pokrzywdzonym odkryli przypadkiem zwłoki innego mężczyzny. Jak się później okazało, śmierć nastąpiła godzinę wcześniej w wyniku pobicia. Przy zwłokach znaleziono dowód osobisty na nazwisko Przemysława Jaroszewicza.

Były to prawdziwe personalia ofiary. Nie zgadzał się tylko adres. Ten, który widniał w dowodzie osobistym, był nieaktualny już od 10 lat. Obecnego pan Przemysław jednak nie posiadał. Był znanym funkcjonariuszom MO w Szczecinie włóczęgą. Wielokrotnie stawał przed kolegium ds. wykroczeń.



Do roku 1987 pracował w Przedsiębiorstwie Robót Inżynieryjno-Montażowych w Szczecinie i wykonywał prace na terenie całego Pomorza Zachodniego. Mieszkał w barakowozach, tam też spędzał dni wolne od pracy, gdyż nie utrzymywał żadnych kontaktów z rodziną. Był typem samotnika, bardzo skrytym, spokojnym i jak twierdzą jego koledzy z pracy, wyjątkowo uczynnym. Nigdy nie wszczynał awantur, nawet pod wpływem alkoholu, którego coraz częściej nadużywał.

W sierpniu 1987 r. Przemysław Jaroszewicz stracił pracę w wyniku opilstwa. Nie wiadomo, co robił od tej pory, z czego żył i gdzie mieszkał. Popadł w jeszcze większą chorobę alkoholową. Pił wszystko, co tylko stanowiło jakikolwiek substytut alkoholu. W ub.r. na krótko został zatrzymany przez milicję i ukarany przez kolegium za włóczęgostwo.

Mimo faktów potwierdzających jego nałóg, sekcja zwłok nie wykazała ani promila alkoholu we krwi denata.

Być może nie znane milicji dane



z ostatnich miesięcy życia Przemysława Jaroszewicza umożliwią wykrycie sprawcy zabójstwa. A może nie mają one żadnego znaczenia? Może sprawcami są ci sami trzej mężczyźni, którzy pobili innego obywatela Szczecina prawie w tym samym miejscu i o tej samej porze 31 lipca ub.r.? Jednego z poszukiwanych prezentujemy na portrecie pamięciowym.

Z wyglądu ma około 25 lat, 170—175 cm wzrostu, włosy krótkie ciemnoblond, czesane do góry. Tamtego dnia ubrany był w koszulę w pasy różowo-niebieskie.

KTOKOLWIEK WIE O LOSIE ZAGINIONEGO



10 lipca ub.r. żona i siostra Stanisława Mikołajczyka, zamieszkałego w Łodzi przy ulicy Sowińskiego 48, zjawiły się w DUSW, by zgłosić zaginięcie 33-letniego męża i brata. Pan Stanisław po zakończeniu zleconych mu prac miał odwiedzić przebywającą w tym czasie na wsi swoją żonę. Prowadził prywatny zakład wykonujący instalacje sanitarne. Początkowo zatrudniał kilku pracowników. Ostatnio wszystkie zlecenia wykonywał sam.

Nie udało się jak dotąd ustalić u kogo pan Stanisław Mikołajczyk wykonywał usługi między 3 a 6 lipca ub.r. Wiadomo tylko, iż 6 lipca był na poczcie. Świadczą o tym stemple na rachunkach za energię, czynsz i inne świadczenia. Od tej pory jednak nie wiadomo, co dzieje się z zaginionym.

Podobno widziano go w Warszawie, Kołobrzegu i Świnoujściu. Ale nie są to wiadomości sprawdzone. Bardziej pewna wydaje się informacja, iż 5 lipca około godziny 22.00 pan Stanisław przyjechał pod dom czerwonym fiatem 125p. Była to taksówka. Jej kierowcę prosimy o kontakt, jak również wszystkie inne osoby, które rozpoznają na zdjęciu Stanisława Mikołajczyka i widziały go między 3 a 6 lipca ub.r. lub później.

ŚMIERĆ W SKLEPIE

23 maja ub.r. około godziny 18.00 jedna z klientek sklepu z dziewiarstwem położonego w Gliwicach przy ulicy Dolnej Wsi 90 weszła do środka. Za ladą nie zastała nikogo. Przez uchylone drzwi od zaplecza sączyło się światło. Klientka nieśmiało zajrzała do wnętrza...

Na podłodze leżały zakrwawione zwłoki sprzedawczyni tej jednoosobowej placówki handlowej. Nie żyła od kilku godzin.



Pani Halina Madejska była najmłodszą ze sprzedawczyń Międzywojewódzkiej Spółdzielni Inwalidów w Gliwicach. Pracowała tutaj od 1 stycznia ub.r. Była osobą szalenie towarzyską, wielu znajomych odwiedzało ją w sklepie.

Krytycznego dnia około godziny 11.00 zjawiła się w magazynie spółdzielni po towar. Stąd po około 45 minutach udała się z dwiema ciężkimi torbami do sklepu. Nie wiadomo, w jaki sposób dotarła na ulicę Dolnej Wsi, położoną o dobrych kilka kilometrów od magazynów z tak ciężkim bagażem. Najprawdopodobniej musiała skorzystać z jakiegoś środka transportu.

Wiadomo natomiast, że zjawiła się w sklepie około godziny 13.00. Znajomi odwiedzili ją o 13.40. Winni byli jej pieniądze, zwrócili całą sumę, chwilę porozmawiali przy herbacie i wyszli. Kilka minut później jeden z przygodnych świadków widział podjeżdżającego w okolice sklepu białego poloneza. Z samochodu wysiadło 2 mężczyzn, którzy podeszli do



drzwi. Świadek ten nie widział jednak, czy weszli do środka.

Około godziny 15.00 w sklepie przy Dolnej Wsi 90 pojawiła się znajoma pani Haliny. Była z nią umówiona. Ale sklep zastała zamknięty.

Jakieś pół godziny później zjawił się tutaj kolejny znajomy sprzedawczyni i kierowniczki w jednej osobie. Także zastał zamknięte drzwi, w których widniała karteczka „Zaraz wracam". Być może w tym czasie w sklepie przebywał morderca?

Około godziny 15.30 w tej okolicy widziano fiata 125p w kolorze groszku, a w nim mężczyznę o cygańskiej urodzie. Samochód miał włączony silnik. Być może był to wspólnik mordercy? Jego portret pamięciowy prezentujemy wyżej. Mężczyzna ten ma z wyglądu 30—35 lat, twarz owalną, włosy czarne, gładkie, czesane do góry, oczy czarne, brwi łukowate, nos mały gruby, wargi ciemne, brodę szeroką wystającą. Przypomina Turka lub Cygana.

Ktokolwiek mógłby udzielić informacji w prezentowanych sprawach, proszony jest o telefoniczny lub listowny kontakt z naszą redakcją, Biurem Kryminalnym KG MO lub najbliższą jednostką milicji.

zdj. i reprodukcje
T. NOSZCZYŃSKI



SŁOWNICZEK KRYMINALISTYCZNY

ODONTOLOGIA

— Nauka o zębach, ich budowie, rozwoju i patologii, stanowiąca podstawę stomatologii, znajduje zastosowanie również w kryminalistyce. Wykorzystuje się ją głównie przy indentyfikacji osób zaginionych, ofiar masowych katastrof i zbrodni, w przypadkach spalenia zwłok, okaleczeń czy zmian pośmiertnych. Zmiany pośmiertne bowiem najmniej obejmują uzębienie denata (tak naturalne, jak i sztuczne), które wykazuje dużą liczbę cech indywidualnych.

Nie ma dwóch ludzi, którzy mogliby pozostawić dokładnie takie same ślady uzębienia. Ślady te pochodzą głównie od zębów przednich, zwłaszcza od zębów szczęki dolnej, które kąsają, podczas gdy zęby górnej szczęki przytrzymują zwykle tkankę. Do indywidualnych, czyli niepowtarzalnych, cech zalicza się też miejsce i kształt plomb w zębach. Jeżeli zachodzi podejrzenie, że znalezione zwłoki mogą być zwłokami danej osoby, na przykład osoby zaginionej, a daleko posunięty rozkład nie pozwala na ich identyfikację w inny sposób, czynności śledcze obejmują zdobycie, dla celów porównawczych, karty stomatologicznej (zawierającej opis stanu uzębienia), będącej w posiadaniu stomatologa, u którego ofiara leczyła zęby za życia. Bardzo przydatne dla identyfikacji są też gipsowe modele uzębienia i zdjęcia rentgenowskie obejmujące również korzenie zębów, które w przeciwieństwie do koron nie ulegają tak często zmianom chorobowym. Badania porównawcze zębów można również oprzeć na fotografii twarzy osoby zaginionej, z dobrze widocznymi przednimi zębami. Ważne jest wtedy, aby fotografia pochodziła z ostatniego okresu przed jej zaginięciem.

Badania odontologiczne były przeprowadzane m. in. dla rozpoznania zwłok Adolfa Hitlera, Ewy Braun-Hitler i Bormanna. Miały one istotne znaczenie także w przypadku identyfikacji zwłok pochowanych w roku 1979 na cmentarzu w Embu koło Sao Paulo, a wydobytych w roku 1985 z grobu opatrzonego nazwiskiem Wolfgang Gerhard. Zostały one ekshumowane w celu ustalenia, czy są to zwłoki dr. Josefa Mengele, byłego lekarza SS w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. W przypadku tym materiał porównawczy do badań identyfikacyjnych stanowił m. in. diagram uzębienia zawarty w arkuszu badań lekarskich, pochodzącym z Głównego Urzędu SS ds. Rasy i Przesiedlania (Rasse-und Siedlunge-Hauptamt SS). Diagram ten wystawiony został w 1938 roku dla Josefa Mengele ur. 16 marca 1911 r. Drugiej ważnej informacji dostarczyła fotografia twarzy J. Mengele (w pozycji en-face), na którym uzębienie szczęki ukazuje wyraźną przerwę między przyśrodkowymi siekaczami. W wyniku przeprowadzonych badań odontologicznych w danym przypadku stwierdzono, że pod względem umiejscowienia, rodzaju i liczby zębów nie występują żadne rozbieżności.

Oprócz identyfikacji zwłok, w zakres tego rodzaju badań wchodzą ślady zębów na artykułach spożywczych oraz na skórze ludzkiej. Na przykład ślady zębów występują na ciele przestępcy, gdy ofiara gryzie napastnika w samoobronie. Zdarza się także, że napastnik jest sadystą, który kąsa swą ofiarę. Obrażenia takie są najczęściej spotykane na piersiach, ramionach i policzkach kobiety. Ślady spowodowane przez samougryzienie spotyka się bardzo rzadko. Występują one na tych częściach ciała, które łatwo jest zbliżyć do ust. Z literatury kryminalistycznej znany jest wypadek, w którym znaleziono uduszoną kobietę ze śladami własnych zębów na zewnętrznej stronie dłoni. Jak się później okazało, napastnik przycisnął do ust kobiety jej własną rękę, aby jej uniemożliwić wezwanie pomocy.

oprac. J. BIENIEK

KTO SZUKA ZAGINIONYCH ?

87 252 obywateli ZSRR zostało uznanych za zaginionych w roku 1988. Odnaleziono 69 835 osób. Losy 17 417 pozostają nieznane. Oznacza to, że rokrocznie w Związku Radzieckim przepada bez wieści więcej ludzi niż zginęło ich w Afganistanie w ciągu 9 lat krwawej wojny...



Zaginionych poszukuje milicja. Działają też pierwsze, nieliczne (3—4 w całym kraju) specjalne biura nieszczęśliwych wypadków, których zadaniem jest uzyskiwanie i przekazywanie zainteresowanym członkom rodzin informacji z pogotowia ratunkowego, szpitali, kostnic, milicji, izb wytrzeźwień.

Losy zaginionych bywają różne. Dziennikarz radziecki przytoczył taką oto opowieść eksperta medycyny sądowej Borisa A. Fiedosiutkina.

Zdarzyło się to w Moskwie. Staruszek — emeryt wyszedł z domu po chleb do pobliskiej piekarni. Tuż przed jej budynkiem umarł na zawał serca. Wezwane pogotowie odwiozło ciało do kostnicy. Dokumentów przy nim nie było.

W tym czasie zaniepokojona żona zwróciła się do służby kryminalnej zgłaszając zaginięcie męża. Nie wiedziała, podobnie jak przyjmujący informację dyżurny, że starzec zmarł na ulicy w rejonie obsługiwanym już przez sąsiedni komisariat. Ponieważ tamtejsi milicjanci nie mieli zgłoszenia o zaginięciu, więc też nikogo nie szukali. Ciało nieszczęśnika przeleżało w kostnicy tydzień, po czym pochowano je na koszt państwa w kącie cmentarza. Ani krzyża, ani pomnika oczywiście nie postawiono. Przybito tylko tabliczkę z numerem rejestracyjnym, jak czyni się zawsze w przypadku pochówku osób o nie ustalonej tożsamości.

Sprawa wyszła na jaw przypadkowo na jakimś zebraniu funkcjonariuszy z sąsiednich komisariatów poświęconym problemom współdziałania. Bynajmniej nie należy ona do jednostkowych. W wyniku corocznych poszukiwań prowadzonych przez wydziały kryminalne oraz służby komunalne na cmentarzach ZSRR odnajduje się groby 300—400 zaginionych.

Reporter tygodnika „Ogoniok" zapisał starą milicyjną anegdotę:

Na milicję zgłasza się mężczyzna i informuje o zaginięciu żony.

— Jak ona wygląda? — pyta dyżurny.

— Kuleje na prawą nogę, kiepsko widzi... — rozpoczyna opis mężczyzna, ale milicjant mu przerywa:

— Słuchaj, chłopie — mówi współczująco — i po co jej szukasz?

Niestety, w tym dowcipie jest pewna cząstka prawdy. Świadczą o tym skargi wpływające do MSW ZSRR. „Proszę mi pomóc w poszukiwaniu naszej córki Katii, która w wieku 3 lat zaginęła 5 VI 1988 roku. Nie jesteśmy zadowoleni z tych poszukiwań, które rzekomo prowadzi nasza milicja. Nie wyobrażam sobie, jak można prowadzić poszukiwania dziecka, jeśli nie zaszedł do nas — rodziców ani śledczy, ani zwykły posterunkowy..."

Poszukiwania zaginionych uważane są w milicji za zajęcie drugorzędne. Z reguły zajmują się nimi funkcjonariusze przed emeryturą i „podpadziochy" ze służb operacyjnych. Jest to robota na ogół papierkowa, przy której częściej niż gdzie indziej narażonym jest się na skargi. Również efekty nie są wynagradzane tak, jak za wykrycie przestępstwa i zatrzymanie jego sprawcy.

Oto jeden z przykładów nieprawidłowego działania zanotowany w materiałach kontrolnych MSW ZSRR. „23 II 1987 r. do RUSW w Bieżanicach (obwód pskowski) nadeszło zawiadomienie od obywatela, że 1 I 1987 r. z wioski Dremliewo wyjechał do Leningradu jego sąsiad Jewłojew i dotychczas nie wrócił. 30 II 1987 r. na podstawie tego zgłoszenia wszczęto rozpracowanie. Do wsi Dremliewo skierowano pełnomocnika operacyjnego lejtnanta W. F. Daniłowa, który dopiero po trzech dniach od zgłoszenia przeprowadził oględziny ostatniego miejsca zamieszkania zaginionego. 16 XII 1987 r. zamknięto sprawę z braku cech przestępstwa. Do tego czasu Daniłow sporządził tylko plan działań wykrywczych oraz postanowienie o wszczęciu rozpracowania. Dopiero 14 VIII 1988 r. w wyniku przejęcia postępowania przez Zarząd Spraw Wewnętrznych obwodu pskowskiego zwłoki Jewłojewa zostały odnalezione. Były one zakopane pod podłogą jego własnego domu".

— Od roku 1966 — mówi pracownica Wyższego Instytutu Naukowo-Badawczego MSW ZSRR Inna N. Rogowa — liczba osób, które zaginęły i były poszukiwane przez milicję, wzrosła ponad dziesięciokrotnie: z 8 tysięcy w 1966 do 31 tysięcy w 1976 i 82 tys. w roku 1986. W roku 1966 nie odnaleziono 4 tysięcy zaginionych, w 1986 — 18 i pół tysiąca.

Wynika z tego, że efektywność poszukiwań jest jakby coraz większa. Rzecz w tym, że wielu zaginionych odnajduje się samych (wracają do domu itp.), innych odszukują rodziny. Milicja natomiast — zdaniem radzieckiego dziennikarza — nie zajmuje się tym problemem w sposób profesjonalny. Przejawia również (znaną niestety także w Polsce) niedopuszczalną znieczulicę.

Zaginieni stają się często ofiarami zabójstw, zwłaszcza tych przestępstw, w których nie odnaleziono zwłok. Sprawcy zakopują bowiem ofiary w ziemi, palą (przypadek moskiewski), zatapiają w asfalcie (przypadek odesski), zamurowują w betonie (zdarzyło się to na jednej z budów, gdzie po zgwałceniu i zamordowaniu kobiety sprawcy — murarze zabetonowali jej ciało w fundamencie domu, na którym postawili 2 piętra). Biorąc pod uwagę te i inne przypadki Prokuratura ZSRR wspólnie z MSW wydała przepis zobowiązujący do wszczynania postępowań przygotowawczych lub rozpracowań operacyjnych w każdym przypadku zaginięcia wskazującym na możliwość dokonania przestępstwa. Rzecz w tym — jest to zagadnienie znane również z praktyki sądowej w Polsce — że brak zwłok oznacza często w procesie karnym... „brak przestępstwa".

A jak odnaleźć ukryte zwłoki przy dzisiejszej technice milicyjnej? Dziennikarz radziecki pisze, że Amerykanie już dawno wprowadzili w życie ogólnopaństwowy system informacji o zaginionych. W pamięć komputera wpisuje się m.in. odciski palców i każdy policjant wprost z radiowozu może uzyskać potrzebne sobie dane.

— U nas pobieranie odcisków palców uważa się za niedemokratyczne — komentuje dziennikarz „Ogońka". — Nikt też nie może się zdecydować np. na przyjęcie obowiązującego już od 1982 roku w USA prawa, które stanowi, że państwo i społeczeństwo zobowiązane są pomóc rodzicom i policji w poszukiwaniu zaginionych dzieci...

na podst. tygodnika „Ogoniok"
oprac. MARCEL TABOR



PORZĄDEK PUBLICZNY ZA PUBLICZNĄ ZGODĄ



Wywiad z szefem policji drogowej Scotland Yardu

— Policja cieszy się u nas stosunkowo dużym społecznym uznaniem, co zawdzięczamy przede wszystkim temu, że żyjemy w demokracji — rozpoczął swoją wypowiedź szef służby ruchu drogowego Scotland Yardu, nadinspektor Peter Wigglesworth w wywiadzie udzielonym węgierskiemu tygodnikowi „Magyar Rendör".

Odpowiedzialny za bezpieczeństwo ruchu 7-milionowego Londynu rozmówca przyznał, że społeczne problemy i napięcia ostatniego dziesięciolecia nie wpłynęły korzystnie na tradycyjną opinię londyńskich bobbies, choć — jak podkreślił — społeczny prestiż zawodu policjanta jest nadal bardzo wysoki.

Słowa nadinspektora znajdują potwierdzenie w okresowych sondażach opinii publicznej, z których wynika, że w ocenie większości obywateli zawód policjanta występuje [illegible] względem popularności zaraz po profesji lekarza.

— Zawsze mieliśmy w kraju demokrację, przynajmniej jeśli chodzi o czasy najnowsze, toteż dzięki temu ogromna większość obywateli uświadamia sobie konieczność przestrzegania prawa i istnienia policji.

W przeciwnym razie, mimo najlepszych chęci, nie moglibyśmy wykonywać naszych zadań. Liczba policjantów, zwłaszcza drogowych, jest przecież znikoma w stosunku do liczby pieszych i innych użytkowników dróg. Bezpośredni wpływ pojedynczego policjanta na przestrzeganie przepisów ruchu jest niemal żaden, skoro proporcja przypadających na niego obywateli jest, jak jeden do kilku tysięcy.

Nadinspektor dodał, że wśród 28 tysięcy londyńskich funkcjonariuszy jest tylko tysiąc pełnoetatowych policjantów drogówki. Służby pełnią oni na motocyklach lub w samochodach, których kolor — biały z podwójnymi, czerwonymi pasami — jest dobrze widoczny z daleka. Ruchliwością i kombinacją koncentracji tak nielicznych sił akcentują swoją obecność w najważniejszych punktach komunikacyjnych miasta, choć nawet przy najlepszym ich wykorzystaniu nie są w stanie zabezpieczyć 99 procent obszaru, gdzie w danej chwili faktycznie nie ma i być nie może policjanta.

— Jedynie nieliczna grupa obywateli świadomie narusza przepisy ruchu drogowego — powiedział nadinspektor Peter Wigglesworth. — Ponieważ wszyscy inni ich przestrzegają, obecność policji służy jedynie oddziaływaniu na tę właśnie mniejszość.

A jakie są uprawnienia policjanta i jak postępuje on wobec tych osób, które naruszają przepisy?

— Uprawnienia i zakres kompetencji policjanta, jak też związane z nimi ograniczenia, określa ustawa o ruchu drogowym oraz normy obyczajowe. Obowiązujące przepisy ustanowione zostały przez parlament w 1984 roku. Wyodrębniono w nich, jakie zachowania, czyny oraz zaniechania kwalifikowane są jako przestępstwo, jakie zaś uważa się za wykroczenie. W każdym przypadku określono też precyzyjnie tryb postępowania policjanta.

Ogólne uprawnienia policji mundurowej pozwalają na zatrzymanie każdej osoby podejrzanej o naruszenie przepisu drogowego oraz na wezwanie jej do okazania prawa jazdy. Areszt stosowany jest w przypadku uzasadnionego podejrzenia, że kierowca nie posiada ważnego prawa jazdy, bądź że wydano mu zakaz prowadzenia pojazdów.

Dzięki radiotelefonicznej łączności z komputerowym centrum rejstracyjnym, weryfikacja powyższych podejrzeń możliwa jest bez trudu już na miejscu. Dokonuje się jej także w przypadku technicznie zakwestionowanych lub poszukiwanych pojazdów.

Umundurowany policjant wezwać może kierowcę do poddania się próbie alkoholowej, kierowcy zaś przysługuje prawo odmowy. Możliwe jest wówczas zatrzymanie go i odstawienie na posterunek, gdzie zarządza się badanie krwi. Opóźnieniem próby alkoholowej zainteresowane są na ogół te osoby, które sądzą, że do czasu przeprowadzenia badania poziom alkoholu w ich krwi spadnie poniżej określonej prawem wartości. Taktyka ta jest na ogół zawodna, gdyż znając upływ czasu lekarz stosunkowo łatwo oznacza właściwy dla momentu zatrzymania wskaźnik i podaje go w kierowanym do sądu protokole.

Zgodnie z duchem i literą ustawy, w ramach posiadanych uprawnień policjanta leży decyzja, czy — w zależności od stopnia i charakteru naruszenia prawa — wystarczającym środkiem będzie wylegitymowanie, słowne lub pisemne upomnienie bądź wystawienie doraźnego (choć nie uiszczanego policjantowi) mandatu, względnie, czy wskazane byłoby zatrzymanie podejrzanego. W każdym przypadku obowiązuje dokładne poinformowanie o przyczynie i rodzaju zastosowanego środka. Zatrzymanie pociąga za sobą również konieczność domniemania niewinności obywatela.

Stosowane jest rzadko, bo jedynie w przypadku 4—5 proc. interwencji. Formuła wygłaszana wówczas przez bobby do podejrzanego, nawet jeśli jest on schwytany na gorącym uczynku, brzmi:

Pan (lub pani) pozwoli, istnieje uzasadnione podejrzenie, że dopuścił się pan takiego to, a takiego naruszenia prawa. Zostaje pan zatrzymany i zabrany na posterunek policji, gdzie zapadnie decyzja odnośnie pańskiego aresztowania bądź zwolnienia. Postawienie w stan oskarżenia nastąpi w ciągu 36 albo jeśli aresztowanie zostanie przedłużone — w ciągu 48 godzin. Przysługuje panu prawo odmowy składania wyjaśnień, powiadomienia bliskich bądź porozumienia się z adwokatem.

Policja londyńska liczy 28 tysięcy funkcjonariuszy, zatrudnionych w ośmiu komendach miasta. W każdej z nich znajdują się specjalistyczne wydziały, a wśród nich — ruchu drogowego. Składają się one z odrębnie szkolonych sekcji: wypadków, kontroli i bezpieczeństwa ruchu oraz innych zadań policji drogowej. Komendy dysponują również własną bazą garaży, w których znajdują się między innymi samochody i motocykle drogówki.

Część samochodów wykorzystywana jest do patrolowania głównych arterii w odcinkach należących do danej komendy. Jest to służba stała, 24-godzinna, pełniona w systemie zmianowym. Większość z tych dróg łączy się z obwodnicą M-25 o długości 118 km, posiadającą po 2—3, a niekiedy 4 pasy ruchu w każdym kierunku. Jej przepustowość przewidywano na 80 tysięcy pojazdów, obecnie zaś w niektórych miejscach przejeżdża nią 160 tysięcy samochodów dziennie.

Poza pierwszeństwem przejazdu, do najważniejszych zadań należy zabezpieczenie płynności przejazdu głównymi ulicami miasta i rozładowywanie tworzących się korków. W tym celu wykorzystuje się patrole motocyklowe, przemieszczające się bez trudu w największym tłoku.

Jako trzecie z podstawowych zadań nadinspektor Peter Wigglesworth wymienił rygorystyczne egzekwowanie przepisów dotyczących parkowania. Wyeliminowanie czy choćby ograniczenie parkowania w miejscach niedozwolonych jest jednym z najskuteczniejszych sposobów zapewnienia płynności przejazdów, zapobiegania wypadkom i zwiększenia bezpieczeństwa ruchu.

Stosowaną od kilku lat w Londynie metodą walki z nieprawidłowym parkowaniem jest centralnie kierowane i koordynowane zabezpieczanie lub usuwanie pozostawionych w niedozwolonych miejscach pojazdów. Tam, gdzie pozwala na to sytuacja drogowa, na źle zaparkowane samochody nakładane są widoczne z daleka, jaskrawożółte kajdany, które oddziaływają również odstraszająco na innych kierowców. Jeśli nałożenie kajdan utrzymywałoby tylko istniejącą przeszkodę stanowiącą zagrożenie bezpieczeństwa ruchu, nielegalnie zaparkowane samochody usuwane są przy pomocy dźwigu.

Każdego dnia zabezpiecza się około 500 i wywozi dźwigiem drugie tyle samochodów. Aby nie powodować dodatkowego obciążenia służby ruchu drogowego, czynności te zlecane są firmom prywatnym oraz wykonywane przez nie pod ścisłym kierunkiem i kontrolą policji.

W wyniku stosowania kłódki i dźwigu, liczba wykroczeń związanych z parkowaniem zmniejszyła się w Londynie o 30 procent. Za przykładem Londynu poszły inne brytyjskie miasta.

Mówiąc o potrzebie poszanowania prawa, nadinspektor Wigglesworth wielokrotnie podkreślał, że w przypadku ruchu drogowego o wiele większe znaczenie niż kara posiada społeczne zaufanie i współpraca. Przy

dokończenie na s. 17

POLICJA LONDYŃSKA

Siedziba policji londyńskiej (Metropolitan Police — MP) znajduje się w budynku New Scotland Yard przy Whitehall Place (w centrum Londynu działa City of London Police). Służbę pełni 27 215 policjantów, działają oni na terenie obejmującym 1300 km² i zamieszkanym przez ponad 6 mln osób.

Obszar ten podzielono na 8 okręgów, dzielą się one na podokręgi, w których ulokowane są posterunki (police stations). Okręgi posiadają kwaterę główną, na której czele znajduje się pomocnik zastępcy komisarza. Podlegają mu dowódcy ds. operacyjnych i wsparcia. Dowódca ds. operacyjnych wraz z szefem biura dochodzeniowo-śledczego odpowiedzialni są za zwalczanie przestępczości kryminalnej (policjanci tego wydziału pełnią służbę po cywilnemu). Dowódca ds. wsparcia i jego zastępca odpowiadają za sprawy kadrowe, wszczynają postępowanie z chwilą otrzymania uzasadnienia skargi na niezgodną z prawem działalność policjanta.

W skład Metropolitan Police wchodzą: **biuro dochodzeniowo-śledcze** (prowadzi śledztwa w sprawach wybuchów bombowych, zagarnięcia mienia, zabójstw, fałszerstw waluty, nielegalnej imigracji, przemytu narkotyków itp.). Zatrudnionych jest w tej służbie 3500 funkcjonariuszy; **jednostka specjalna** — utworzona z myślą o zwalczaniu irlandzkich terrorystów, obecnie zmienia profil i zajmować się będzie prowadzeniem śledztw w sprawie ustalenia sprawców przestępstw dokonanych na tle politycznym; **special branch — SB** odpowiada za zabezpieczenie pobytu delegacji zagranicznych, ochronę członków rządu, zbiera informacje dotyczące organizacji i osób zagrażających bezpieczeństwu państwa; **Laboratorium naukowo-badawcze** — zatrudnia 200 specjalistów z dziedziny biologii, chemii, geologii, elektronicznego przetwarzania danych itp. Wyposażeni są oni w najnowocześniejszy sprzęt; **Wydział odcisków palców** — zatrudnia 400 funkcjonariuszy. Policja londyńska dysponuje także danymi z Biura Odcisków Palców mieszczącego się w New Scotland Yard i z Krajowego Biura Odcisków Palców, które wraz z Krajowym Biurem Rejestrów Kryminalnych tworzy Krajowe Biuro Identyfikacyjne. Niezidentyfikowane linie papilarne mogą być wysłane również do krajowego komputera policji znajdującego się w Hendon. Decyzję o identyfikacji odcisków podejmuje Krajowe Biuro Rejestrów Kryminalnych, które wydaje też decyzję o aresztowaniu sprawcy.

Wydział ruchu drogowego (czytaj materiał obok); The Traffic Police — TP zatrudnia blisko 1000 funkcjonariuszy kontrolujących ponad 10 tysięcy kilometrów ulic w obrębie wielkiego Londynu. Dysponują oni samochodami typu: „Rover 3500" oraz motocyklami i pojazdami „Range Rovers" i „Land Rovers" oznaczonymi jako SETAC (są to specjalnie wyposażone samochody kierowane do wypadków drogowych). Nabór do służby w TP prowadzi się wśród ochotników, którzy po przeszkoleniu otrzymują prawo jazdy I kategorii oraz tytuł oficera śledczego ds. wypadków lub kontrolera pojazdów. W ramach TP działa służba parkingowa.

Policja konna zatrudnia 214 policjantów (do dyspozycji przydzielono 200 koni). Do jednostki tej mogą przyjść funkcjonariusze po dwóch latach pracy w posterunku. Kandydaci odbywają 22 tygodniowy kurs. Służba trwa 11 godzin (3 godz. patrolowania i 8 godz. prac pielęgnacyjnych przy koniu).

Jednostka kobieca — funkcjonariuszki pełnią służbę patrolową z myślą o ochronie kobiet i dzieci przed napadami. Opiekują się młodocianymi przestępcami. Po ukończeniu 20-tygodniowego przeszkolenia odbywają 2-letni okres przygotowawczy w posterunkach policji.

Policja rzeczna utrzymuje porządek na nabrzeżach Tamizy, prowadzi poszukiwania zaginionych, zabezpiecza przewożone ładunki itp. W jej składzie znajduje się także 9 nurków.

Sekcja psów przeznaczona do patrolowania zalesionych terenów, poszukiwania narkotyków, materiałów wybuchowych. Umundurowani opiekunowie pełnią 8-godzinną służbę (7 godz. patrolowania i godzina prac pielęgnacyjnych.) Do dyspozycji pozostaje 300 służbowych psów.

Policja powietrzna wspiera funkcjonariuszy z posterunków w patrolowaniu miasta w godzinach szczytu itp.

Jednostka zabezpieczenia obiektów królewskich i misji dyplomatycznych; jednostka eskortowa (pełnią tu służbę m.in. specjaliści w zwalczaniu terrorystów) oraz **jednostki wspierające działania londyńskiej policji** — pełnią tu służbę funkcjonariusze pracujący na pół etatu (około 500 mężczyzn i kobiet w wieku od 18 do 50 lat). Służbę pełnią ochotniczo, przysługuje im prawo do nieodpłatnego uzyskania munduru i butów. Mają jednak takie same uprawnienia (z prawem aresztowania włącznie), jak inni policjanci.

kirz.

Sniezna i mrozna środa, 16 grudnia 1981 roku. Pododdziały MO przystępują do odblokowania kopalni „Wujek", sparaliżowanej nielegalnym, w świetle dekretu o stanie wojennym, strajkiem. Padają strzały. Później policzono je skrupulatnie. 156. Sześciu górników chroniących dostępu do bramy głównej ginie na miejscu. Trzech kolejnych umiera w szpitalach. Po obu stronach barykad dziesiątki ludzi odnoszą rany i kontuzje.

O zmierzchu w miejscu najzacieklejszych zmagań wzniesiono krzyż. W jego ramiona wbito górnicze lampki poległych. Dziś w załomie muru stoi inny, poprzedni usunęli „nieznani sprawcy".



PRZEŁAMYWANIE MURU



W grudniu 1989 roku o kopalni „Wujek" można mówić otwarcie i głośno. Pod krzyżem kładzie kwiaty prezydent państwa. Towarzyszy mu biskup ordynariusz katowicki Damian Zimoń. „Dzisiejszy dzień był dla mnie bardzo ważny — wyznaje Wojciech Jaruzelski. — Rozpocząłem go schyleniem głowy pod krzyżem, pod kopalnią „Wujek". Ta sprawa, ten wielki dramat tkwił we mnie, tkwi zresztą nadal, jak cierń. Ale wymowne jest, że mogłem tam dziś przyjść, niezależnie od tego; w jakiej atmosferze do tego doszło i w ten sposób dać wyraz temu, że weszliśmy w nowy okres".

Korzystając ze sposobności przedstawiciel załogi Jerzy Wartak przedłożył gościowi prośbę, by wyjaśnić wreszcie wszystkie okoliczności minionych zdarzeń, a w szczególności kwestię, kto wydał rozkaz ataku na górników i użycia broni palnej.

Podobne żądanie ponowiono w oświadczeniu zakładowej komisji NSZZ „Solidarność". Wkrótce prezydent przyjął w Belwederze delegację górników: Mieczysława Pieronkiewicza, Jerzego Wartaka, Kazimierza Matykę i Ludwika Karmińskiego. W obecności ministra stanu Piotra Nowiny-Konopki, szefa kancelarii prezydenta Michała Janiszewskiego, komendanta głównego MO gen .dyw. Zenona Trzcińskiego i naczelnego prokuratora wojskowego gen. Henryka Kostrzewy przypomniano milicyjną akcję w KWK „Wujek". Stwierdzono, że: „mimo zakazu ze strony wyższych przełożonych, w sytuacji najwyższego napięcia, w którym dominowały reakcje emocjonalne, doszło tam do użycia broni palnej przez funkcjonariuszy plutonu specjalnego MO, którzy uznali, że sytuacja zagraża ich życiu i zdrowiu". Górnicy polemizowali z powyższym stanowiskiem. Twierdzili, że żadne niebezpieczeństwo milicjantom nie groziło, przeciwnie, to właśnie załoga kopalni broniła własnego życia i miejsca pracy...

★

Odwiedzam kopalnię „Wujek" w rocznicę bolesnych wydarzeń. Pod krzyżem setki zniczów i stosy kwiatów. Wieńce złożyli tu między innymi szef WUSW w Katowicach gen. bryg. Zdzisław Wewer i bezpartyjni, jak świadczy napis na szarfie, funkcjonariusze MUSW z Piekar Śląskich. W siedzibie „Solidarności" gorączkowa krzątanina przed uroczystym poświęceniem i wmurowaniem tablicy ku czci zabitych kolegów. W nawale zajęć znajduje dla mnie czas Kazimierz Matyka. Przed ośmioma laty, jako szef samorządu pracowniczego kierował pamiętnym strajkiem. Dziś przewodniczy grupie (oprócz niego tworzą ją senator Leszek Piotrowski i psycholog Herbert Szafraniec), która w ramach sejmowej komisji posła Jana Rokity zajmie się ponownym badaniem akt dotyczących zajść w KWK „Wujek" i wysłuchaniem nowych świadków.

— Mówicie wciąż o przebaczaniu, o pojednaniu — stwierdzam. — Skąd zatem ta nieustępliwość w dążeniu do ujawnienia nazwisk strzelających? Czy to niezbędne?

— Nie pragniemy odwetu — słyszę spokojną, lecz stanowczą odpowiedź. — Nie szukamy zemsty. Dalecy wreszcie jesteśmy od oczerniania milicji. Ciągle jednak nie posiadamy rzetelnej wiedzy o tamtym dniu. Wciąż „Wujek" stanowi zarazem białą plamę i czarną kartę nieodległych dziejów. Musimy wspólnymi siłami odwrócić tę kartę. Nie uczynimy tego bez znajomości pełnej prawdy o wszystkim, co wtedy nastąpiło.

Kazimierz Matyka dobrze pamięta [illegible] dzień 1981 r.

— Na „Wujku" wrzało. Dochodziły wieści o bezwzględności milicji. O rozprawie z hutą „Katowice" i kopalnią „Staszic". Czując się gospodarzami postanowiliśmy nie dać się spacyfikować. „Nikt nas nie będzie bił!" — zadecydowaliśmy. Ludzie zaczęli się zbroić. Każdy chwytał, co leżało pod ręką. Kawałki węży hydraulicznych, wiertła, pręty zbrojeniowe, różne przedmioty do miotania. Na zbiórkach stawaliśmy czwórkami. Duch panował bojowy, lecz wszystkich obowiązywał nakaz: „Nie używać tych narzędzi do zabijania!" Pozostaliśmy wierni wezwaniom księdza Bolczyka: „Nie palić! Nie niszczyć!" Gdy czołg zawiesił się na złomie, pozwoliliśmy go sholować. Rannego zakładnika — milicjanta sami odwieźliśmy do szpitala.

Śledztwo wszczęto — kontynuuje gorzkie wspomnienia. — Ale szukano sprawców wśród górników. Mówiono o okrążeniu funkcjonariuszy. Lecz na przesmyku między wagą a ścianą kotłowni, gdzie kule poraziły naszych braci, nie sposób kogokolwiek otoczyć. Nie było zatem potrzeby strzelania. Rozumiem, milicjanci mogli popaść w panikę, nie wytrzymać napięcia, choć przecież szkoli się ich, by nie ulegali nerwom. Ale do tego trzeba się przyznać! Póki nie dowiemy się, co naprawdę czuli i myśleli ci ludzie pociągający za spust, dopóty zasadne będą podejrzenia, że zrobili to z premedytacją i na czyjeś polecenie.

Na Śląsku znajduje posłuch wersja, że do przelewu krwi doszło za przyzwoleniem

lokalnych władz, pragnących pokazowym pogromem strajkujących dać przykład, jak likwidować opór, a zarazem zastraszać nieposłusznych. Chodzą również plotki, iż to partyjna konserwa wykorzystała pretekst, by rozwiązując konflikt siłą nie dopuścić do rozstrzygnięć politycznych, zagrażających jej istnieniu.

W Katowickim Oddziale Prewencji MO niewielu już funkcjonariuszy zna z autopsji tamtą środę. Ci, których spotkałem, mówią z żalem:

— Nikt z nas nie poszedł tam z własnej woli. Przekonywano nas nieustannie, że bronimy wartości wyższego rzędu. Spokoju społecznego, porządku, dyscypliny. Nie naszą powinnością były rozważania, czy stanowione wówczas prawa są słuszne. Podobnie nie naszą rzeczą jest obecnie ocenianie przemiany tych, którzy nas wysyłali do walki, a którzy dziś przyznają, że to, co uparcie nazywali czarnym, okazało się w konsekwencji białe. Sami odeszli od racji, które kiedyś uznawali za niepodważalne. Niech ocenia ich historia. Zapewne przez pokolenia potrwają spory, czy stan wojenny był konieczny? Czy przyznać, że był wyborem mniejszego zła, a więc decyzją racjonalną, czy, jak przekonuje Lech Wałęsa, należy widzieć „bezsensowność ludzkich ofiar, prześladowań, kampanii oszczerstw i upokarzania, kultu siły i pacyfikacji życia publicznego".

— Tamto nieszczęście było także naszym [illegible]ałem — twierdzą oficerowie. — Drogo okupiliśmy pirrusowe zwycięstwo. Ranni, okaleczeni na zawsze, samobójstwo jednego z byłych zakładników — funkcjonariusza, to cena, która, chociaż niewspółmierna do daniny życia górników, musi być uwzględniana we wzajemnych rozrachunkach. Uważamy za błąd, że od razu nie ujawniono, kto złamał zakaz strzelania. Rzecz jest jednak niezmiernie trudna. Pamiętajmy, że ograniczenie dotyczyło wystąpień pododdziałów zwartych MO. Niezależnie od tego każdy funkcjonariusz korzysta z ustawowej delegacji do użycia broni w celu odparcia bezprawnego, gwałtownego zamachu na życie własne lub cudze.

Nie ulega wątpliwości, iż społeczeństwo powinno poznać szczegółowy przebieg dramatycznych scen przed bramą „Wujka". To nakaz zgodny z duchem czasów. Czy jednak podporządkują się mu ich świadkowie, a zwłaszcza żyjący uczestnicy? Czy patrząc na przeszłość z odmiennych pozycji znajdą drogę do zbliżenia? Czy jednym starczy sił i odwagi, by odkryć własny udział w tamtych wydarzeniach, gdy wokół wzbiera kampania deprecjonowania, wręcz opluwania [illegible]cji? A drudzy, czy znajdą w sobie dość mądrości i chrześcijańskiej mocy przebaczenia, gdy w podtekstach tylu wypowiedzi czają się groźby i pobrzmiewają pomruki mściwości?

Przełamywanie muru wzajemnych uprzedzeń nie będzie łatwe, lecz pierwsze kroki we właściwym kierunku zostały już uczynione. W sobotę, 16 grudnia 1989 r., pododdziały milicji czuwały nad spokojnym przebiegiem rocznicowych uroczystości. W obecności dziesiątków sztandarów, delegacji robotniczych załóg z całego kraju, duchowieństwa, parlamentarzystów i czołowych postaci władz administracyjnych i politycznych regionu, w kopalniany mur wmontowano okazałą tablicę. „...Zginęli za prawo do życia godnego..." głoszą litery z brązu przed nazwiskami poległych: Józefa Czekalskiego, Joachima Gnidy, Józefa Gizy, Ryszarda Gzika, Bogusława Kopczaka, Andrzeja Pełki, Jana Stawisińskiego, Zbigniewa Wilka i Zenona Zająca.

Dwa tygodnie wcześniej w kopalnianej księdze pamiątkowej prezydent Wojciech Jaruzelski napisał: „Płynęły przez śląską ziemię potoki ludzkiej krwi. Tej, która tu została razem przelana, mogliśmy uniknąć. Niech pamięć o niej będzie przestrogą dla żywych i hołdem dla umarłych".

ADAM K. PODGÓRSKI
zdj. autor

GODNOŚĆ

Mężczyzna po pięćdziesiątce sprawia wrażenie człowieka inteligentnego. Mówi szybko, dobitnie i logicznie.

Przyszedł do naczelnika Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego WUSW w P. Kilka dni wcześniej był u zastępcy szefa ds. służby MO, a jeszcze wcześniej — wydzwaniał do szefa. Sugerował, że skłonny jest dać się przeprosić w odpowiedniej formie. Miał chyba na uwadze pisemko z pieczątkami WUSW.

— Jeżeli nie doczekam się pełnej satysfakcji, będę pisał do Warszawy i gdzie indziej, do prezydenta, Sejmu i Senatu. Nie puszczę tego płazem. Do dziś mam w uszach cyniczne słowa tego inspektora, a przed ludźmi, którzy znają tę sprawę, nadal nie mogę stanąć z podniesioną głową.

Zastępca szefa znał sprawę tylko z relacji. W czasie, gdy miała miejsce, jeszcze go w P. nie było. Uważnie wysłuchał Franciszka Bednarka, a następnie powiedział:

— Byłoby najlepiej, gdyby pan porozmawiał bezpośrednio z inspektorem, który pana rzekomo znieważył, a później z jego przełożonym, naczelnikiem wydziału.

Franciszek Bednarek, czujny jak sejsmograf, natychmiast skontrował:

— Przede wszystkim, to nie rzekomo, panie pułkowniku. Albo uznaje pan fakty i moje racje, albo nie mamy o czym rozmawiać. Tym językiem i w tym stylu to nie ze mną.

— Naczelnik już na pana czeka w sekretariacie — powiedział zastępca szefa przerywając wywody Franciszka Bednarka.

Kim jest, a właściwie kim był ten butny obywatel żądający satysfakcji? I co najważniejsze — po ośmiu latach?

Był inspektorem, może nawet starszym, jednego z organów kontroli państwowej. Działał ostro, bezkompromisowo. Należał do speców od wykrywania wszelkich nieprawidłowości. Trafiał na takowe raz po raz. Otrzymywał pochwały, nagrody.

W 1982 roku podczas pewnej kontroli, zresztą ukierunkowanej m.in. przez funkcjonariuszy MO, natknął się na grube szwindle. Odkrył nadużycia sięgające wysokich kwot. Sprawa miała też sporo aspektów etycznych i społecznych. Ale nie weszła na wokandę. Pogłębiając kontrolę inspektor uznał, że przestępstwa nie było. Ot, tylko pozory. Mogły one wprowadzić w błąd ludzi niekompetentnych. Pan inspektor, stojąc na gruncie praworządności, rozczarował naiwnych.

Jednakże orzeczenie pana inspektora nie podobało się tym naiwnym. Uznali, że tak zinterpretowana ekspertyza ma niewiele wspólnego z rzetelną praworządnością. Poinformowali o tym funkcjonariuszy twierdząc, że pan inspektor wziął wysoką łapówkę i mówiąc pospolicie, sprawie łeb urwał.

Milicja wszczęła przeciwko niemu postępowanie przygotowawcze. Przesłuchiwał inspektora ppor. Jerzy Kaczyński. Najpierw — w charakterze świadka. Pan inspektor przyznał się do nieetycznego i nieprawnego czynu. Funkcjonariusz sporządził protokół. Stał się on dla prokuratora podstawą do tymczasowego aresztowania obywatela Franciszka Bednarka i przedstawienia mu zarzutu. W obecności prokuratora, protokolanta z wydziału dw. z przestępstwami gospodarczymi WUSW i ppor. Jerzego Kaczyńskiego podejrzany potwierdził zeznania.

Sprawę przesłano do sądu. Tam jednak, po rozmowie z adwokatem, pan inspektor zrobił woltę.

— Żadnej łapówki nie wziąłem — stwierdził krótko. — Przyznałem się ze względu na metody, jakie stosowano wobec mnie w śledztwie.

Bicia nie było. Pan inspektor tego nie zarzucał. Ale tortury psychiczne! Strach pomyśleć! Nie, to było ponad jego siły. Więc się przyznał.

Sąd go uniewinnił... z braku dowodów winy. Pan inspektor otrzymał rentę i zajął się działką. Nagle doszedł do wniosku, że należy mu się satysfakcja moralna (może nie tylko?). Postanowił zażądać jej od ppor. Kaczyńskiego, gdyż on, w obecności prokuratora, nazwał go... łapownikiem! Jak mógł posunąć się do takiego oszczerstwa!

Ppor. Jerzy Kaczyński dobrze pamiętał tę sprawę. Było wokół niej sporo publicznej emocji ze względu na stanowiska podejrzanych. Pamiętał również psychofizyczną sylwetkę podejrzanego inspektora z organów kontroli państwowej.

— Czego pan sobie życzy ode mnie? — zapytał wprost, czym trochę stropił pana Franciszka Bednarka.

— Chcę, żeby pan stwierdził, że popełnił błąd nazywając mnie osiem lat temu „łapownikiem".

— Przyznał się pan przecież — odparł ppor. Kaczyński.

— Co? Pan wie, dlaczego się przyznałem. Torturował mnie pan psychicznie.

— Głupstwa pan opowiada. Przeprowadziłem z panem zwykłą, rutynową rozmowę, nawet nie jako z podejrzanym, lecz świadkiem.

— Zwykłą rozmowę? Rutynową? Tak, rutynę w torturowaniu swych ofiar to pan już wtedy miał. Więc jak, daje mi pan satysfakcję? Odwołuje pan wypowiedziane wtedy słowa? Jak nie, to wiem, co mam robić.

— No to rób pan i to od zaraz — poradził Bednarkowi ppor. J. Kaczyński. — Koniec, nie mamy więcej o czym mówić. Niech pan nie sądzi, że brak mi ambicji oraz godności i że pomogę panu w zrobieniu jakiegoś interesu na tej żądanej ode mnie „satysfakcji".

To powiedziawszy ppor. J. Kaczyński odmeldował się naczelnikowi, powiedział „do widzenia" i wyszedł.

Eks-inspektor organów kontroli państwowej pobladł z wrażenia. Tego się nie spodziewał.

— Liczył, że funkcjonariusze milicji, pod wpływem nieprzychylnej atmosfery, zdążyli już „skruszeć" — powiedział nieco później ppor. J. Kaczyński. — No więc rozczarowałem go. Może również innych, którzy czekali, jaki obrót weźmie ta sprawa.

Franciszek Bednarek nie mógł już dopić kawy, którą został poczęstowany.

— Czy pan, panie naczelniku, uważa tak samo jak pański podwładny?

— Prawie tak samo — odparł naczelnik. — Wie pan, funkcjonariusze milicji też cenią swoją godność. Więcej niż te stołki, których jakoś nikt obecnie nie chce zajmować. Mamy sporo wakatów...

— Współczuję, ale to trochę od rzeczy. Chciałbym wiedzieć, czy zostanę przeproszony. Chyba fakt, że pan mnie podjął kawą jest wyrazem chęci dania mi satysfakcji.

— Skoro pan tak uważa, a ponadto rzeczywiście czuł się pan obrażony, to proszę bardzo — powiedział naczelnik i poprosił sekretarkę o podstemplowanie panu Bednarkowi przepustki.

EDWARD NOWAK

PS Nazwiska osób występujących w felietonie zostały zmienione.



Dwie strony medal



Rekordy zaczęły padać pod koniec ub. r. Każdy kolejny miesiąc wyprzedzał w tej niechlubnej statystyce poprzedni. Zagrożenie rosło prawie z dnia na dzień. W październiku np. co 23 minuty miał miejsce napad, gwałt, kradzież lub włamanie. Tych ostatnich notowano średnio około 30 dziennie. W tym samym czasie mniej więcej podobne nasilenie przybrała liczba milicyjnych raportów składanych do wydziałów kadr z prośbą o zwolnienie z pracy. Sytuacja znana dobrze we wszystkich aglomeracjach w kraju.

Pierwsi zareagowali funkcjonariusze z wydziałów kryminalnych RUSW i WUSW. Zaproponowali dodatkowe służby w godzinach nocnych w miejscach najbardziej zagrożonych przestępczością. Szybko poparło tę inicjatywę kierownictwo WUSW w Szczecinie. Już po kilku dniach postanowiono, że na te dodatkowe służby będą kierowani także pracownicy innych pionów i to bez względu na szarże i stanowiska. I tak trafili na ulicę pracownicy wydziałów kadr, ogólnego, szkoleniowo-wychowawczego, czyli wszyscy ci, którzy noszą milicyjne legitymacje. W ten sposób od listopada ub. r. około 6—7 dwuosobowych patroli z WUSW i drugie tyle z RUSW wychodzi co noc na dodatkowe służby. Wydział prewencji na podstawie analizy zagrożenia rozbojami, napadami, włamaniami opracował trasy. Sprawa, dzięki znakomitej operatywności rzecznika prasowego szefa WUSW (to już chyba tradycja w Szczecinie) została rozpropagowana w środkach masowego przekazu z telewizyjnymi „Wiadomościami" włącznie. Wydawało się, że nic tylko przyklasnąć...

*

U dyżurnego WUSW nastrój raczej ponury. Ubrani po cywilnemu mężczyźni w różnym wieku obserwują w telewizorze „Powiększenie" Antonioniego. Starają się wyciągnąć z ekranu wszystko jakby na zapas. Gdzieś tam w podświadomości pamiętają, że nie obejrzą do końca, bo już za chwilę trzeba będzie opuścić to przytulne i ciepłe pomieszczenie.

Punktualnie o 22.00 dyżurny rozpoczyna odprawę. Przypomina o konieczności zabrania radiostacji i broni, o obowiązku meldowania objęcia stanowiska, no i na koniec zachęca do uzyskania tzw. wyniku. Bo do tej pory jakoś to nie wychodzi...

Mężczyźni powoli opuszczają dyżurkę. Ci, którzy dysponują prywatnymi samochodami i funduszami na prywatną oczywiście benzynę są w zdecydowanie lepszym położeniu. Pojadą w wyznaczony rejon, obejdą go wokoło, sprawdzą czy do któregoś ze sklepów nie było włamania, po czym usiądą w samochodach i jakoś do 5.00 rano przebiedują. Zwłaszcza jeżeli pamiętali o kanapkach, termosie z gorącą herbatą i ciepłym ubraniu. Bo przez 7 godzin styczniowej czy lutowej nocy można przemarznąć do kości.

Ci, którzy nie dysponują własnym pojazdem są skazani na 7-godzinne dreptanie w miejscu, jakąś bramę, murek, winkiel. Ich sytuacja przedstawia się znacznie gorzej.

— Już trzeci raz w tym miesiącu jestem na takiej służbie — zwierza się jeden z funkcjonariuszy. — Dziś miałem szczęście. Ślepy los, bo on wyznacza rejon i skład patrolu, przydzielił mnie do kolegi, który ma samochód. Dwie poprzednie noce spędziłem na nogach. Pomijam fakt, że chyba nie po to kończyłem studia, by teraz „szlifować krawężniki", że nie po to zdobywałem specjalistyczną wiedzę dostosowaną do charakteru mojej pracy i nie po to zdawałem egzaminy oficerskie. Ale chciałbym skupić się na innej sprawie. Jakie mam szanse zatrzymania przestępcy podczas tej, moim zdaniem bezsensownej, służby? Nie jestem przeszkolony w tym zakresie. Wiadomo co dziś grozi policjantowi za użycie środków przymusu bezpośredniego. Mamy mieć przy sobie broń, ale nie daj Boże jej użyć. Prokurator murowany. Żeby wytrzymać do 5.00 muszę się odpowiednio ubrać. Potencjalny włamywacz ma na nogach wygodne sportowe buty, a na sobie lekki strój. W życiu go nie dogonię, nawet jeżeli zaraz zauważę włamanie. Ponadto nie znam tego rejonu miasta, który wyznaczono mi do p
Jest tutaj mnóstwo
przejściówek. Wchodz
wychodzi się 2 ulic
można się więc dz
nasze służby jak dot
efektów w postaci
sprawców.

— Można oczywiśc
prewencji — konty
mój rozmówca. — A
prewencja, jeżeli c
cywilnemu. Nie zdzi
gdyby dozorca jakieg
widząc nas oświetlaj
ką kłódki w drzwia
w oknach wezwał cz
milicję. Natomiast p
włamywaczy na pew
straszy dwóch przys
zmęczonych 7 godzin
nymi na mrozie, nie
w mocno zaawansowa
cywili.

— Jak się czuje
wydziału postawiony
służbie w roli zwyk
gowego milicjanta? –
moje pyta
krocki, naczelnik Wy
chu Drogowego WUS
cinie. Przypomina so
czasy, kiedy był mło
cjonariuszem MO i
takie służby. — To
chodzi, że zza biurka
komuś na ulicę. Ja
potrzeby takich służb
z zagrożeniem. Ale
rzeczywiście jest mało
Wolałbym widzieć
Np. nocne zmasowa



patrolowania. ro bram, tzw. odząc w jedną, ice dalej. Nie dziwić, że te łotąd nie dały ci zatrzymań

iście mówić o tynuuje inny Ale co to za chodzimy po dziwiłbym się, iegoś budynku ających latar- viach i kraty czym prędzej prawdziwych ewno nie od- ysypiających i inami spędzo- nierzadko już wanym wieku,

je naczelnik ny na nocnej ykłego szere- — powtarza He k Ma- Wydziału Ru- JSW w Szcze- sobie dawne młodym funk- i chodził na To nie o to ka kazano iść Ja rozumiem żb w związku le ich forma ało skuteczna. inne akcje. wane kontro-

wców. I z tej ecież ogromne wości nocnego nie chcę się

cje mają po- łeczeństwo do ezpieczeństwa, tej instytucji zić na patro- olejny prosząś rozmówca, ego ze zlikwi- ziałów SB. — ę. Pracownicy rzegrani i nic iedługo i tak pracy. A te n zdaniem, są

Mróz robi się ążliwy. Ulice

opustoszały już dawno. Szczęśliwcy w samochodach usiłują złapać choć parę godzin snu. Tylko zaparowane szyby aut świadczą, że ktoś tam jest w środku i pełni służbę. Ci na nogach po prostu dogorywają.

Czy służby te zatrzymały lub zmniejszyły falę przestępczości w Szczecinie? Na ten temat wciąż brak jeszcze informacji.

★

„Gwarantujemy superatrakcyjną pracę, udział w niebezpiecznych sytuacjach. Ryzykując życiem i zdrowiem możesz jednocześnie nieść pomoc innym, możesz się sprawdzić, pokonać słabość i strach, możesz czuć się potrzebnym" — tak mniej więcej brzmiał początek prasowego anonsu zamieszczonego w „Głosie Szczecińskim". Miał na celu zwerbowanie chętnych do pracy w tzw. brygadach tygrysa. To także pomysł kierownictwa WUSW znakomicie rozpropagowany przez rzecznika prasowego.

Reakcja na ten prasowy i telewizyjny anons przerosła najśmielsze oczekiwania. Jeszcze tego samego dnia zgłosiło się kilkudziesięciu chętnych. Następnego dnia, mimo iż była to niedziela, przed gmachem WUSW zebrał się prawdziwy tłum. Zgłosiło się około stu młodych i chętnych do tej pracy mężczyzn.

Nikogo z kandydatów nie zrażała nawet pensja — 450 tys. zł. Ci młodzi ludzie po prostu chcieli być „tygrysami", choć zastrzegali sobie jeden warunek, że nie będą pracować w mundurach. Najbardziej imponowała im rola „Dempsejów" czy policjantów z Miami. Ponadto po raz pierwszy nie postawiono przed nimi bariery w postaci wymagań odpowiednich przekonań, przynależności do takiej a nie innej organizacji etc. Ich młodzieńczy zapał można było chyba dobrze wykorzystać.

Cóż, kiedy do rozmów kadrowych wyznaczono ludzi, którzy sami odchodzą już z resortu. Z ponad setki chętnych do dalszych rozmów w kadrach zakwalifikowano... 14 mężczyzn.

Rzecznik prasowy szefa WUSW, człowiek młody i pełen energii, nigdy nie miał najlepszego zdania o pracownikach kadr. Pamięta, jak sam próbował dostać się do służby w MO i jak go odsyłano, bo nie jest kierowcą ani mechanikiem (jakby chodziło o jakiś polmozbyt a nie o milicję). Teraz jednak zdenerwował się dużo bardziej. I trudno mu się dziwić. W sytuacji, kiedy nie ma zbyt wielu chętnych, by pójść na ulicę i pilnować porządku, trudno czymkolwiek usprawiedliwić podobną rozrzutność.

Czyżby więc obie inicjatywy szczecińskiej milicji miały okazać się niewypałem? Na pewno nie. Pierwsza wymaga jedynie uregulowań finansowych albo całkowitej dobrowolności. Są tacy milicjanci, którzy chętnie pójdą na nocne służby, jeśli tylko lepiej się je zorganizuje. Inni będą traktować je jako dopust boży, choć może zmieniliby zdanie, gdyby wypłacano za nie nadgodziny.

A co z „Tygrysami"? Może by jeszcze raz powtórzyć anons w „Głosie Szczecińskim" i telewizji lokalnej. Ale najpierw w poszukiwaniu chętnych na stanowiska... kadrowców. Takich myślących po nowemu.

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI
zdj. autor



Paradoksy

BYĆ MĄDRYM PRZED SZKODĄ

I

Późnym wieczorem kapitan MO wezwał pogotowie ratunkowe do swojego 6-letniego dziecka, trawionego gorączką. Lekarz dyżurny szpitala WUSW przyjechał nawet szybko, rozpoznał stan zapalny gardła i przepisał stosowne — jego zdaniem — leki, m.in. specyfik przeciwwymiotny „Torecan". Kapitan, którego sylwetka widniała w gablocie „Funkcjonariusze wzorowej służby", zwykł widzieć w innych również rzetelność i kompetencje. Tym bardziej że lekarz był laryngologiem.

Niestety, nazajutrz dziecko straciło przytomność i zostało odwiezione do kliniki pediatrycznej. Specjaliści rozpoznali zatrucie „Torecanem", którego nie wolno podawać osobom do 15 roku życia! Po wielogodzinnej reanimacji dziecko odzyskało przytomność, a rodzice równowagę ducha. Niestety, nie odzyskali oni zaufania do resortowej służby zdrowia.

II

Od czasu, kiedy „gniew ludu" zlikwidował sklepiki w jednostkach MO, znacznie rzadziej mówi się o tzw. żółtych firankach. Wprawdzie specjalne punkty handlowe nadal funkcjonują w niektórych resortach (patrz: górnictwo), ale one ludowi nie wadzą, bo zasada nagonki jest inna: wewnętrznych przywilejów trzeba szukać — jak sama nazwa wskazuje — w resorcie spraw wewnętrznych. Solą w ludowym oku pozostają więc sklepy mundurowe, a raczej kąciki mundurowe, wydzielone w ogólnie dostępnych placówkach handlowych PGH „Konsumy". Oczywiście, te kolejarskie, górnicze i strażackie niech sobie będą, ale po co sorty mundurowe milicjantom?

III

Dziennikarz lubelskiego „Sztandaru Ludu" trafił do położonej tuż za rogatkami Lublina wsi Jabłonna i popełnił tekst pt. „Psy w pałacu"". Jakie psy? Milicyjne. Jakim pałacu? Należącym przed II wojną do Vetterów, a mocą dekretu PKWN przejętym przez skarb państwa i przekazanym w roku 1953 Komendzie Wojewódzkiej MO. Przez długie lata mieścił się tu ośrodek szkolenia.

W 1975 roku szkółkę milicyjną zlikwidowano i — jak twierdzi dziennikarz — „załoga pałacu teraz składa się z jednego funkcjonariusza, który pilnuje 11 psów..."

Autor z lubością cytuje głos ludu: „To przechodzi ludzkie pojęcie, żeby ludzie nie mieli gdzie mieszkać, a tam milicyjne psy harcowały!" Autor nie zważa na takie niuanse, jak: po pierwsze — psy nie są trzymane w pałacu, lecz w podwórkowych kojcach; po drugie — w pałacu, z drugiej jego strony, mieści się od dawna posterunek MO, świadczący wiadome usługi ludności gminy. W świetle tych niuansów obraz pałacu zasiedlonego przez jednego psiarczyka i tabun psów hasających po salonach nieco traci na sensacji.

Faktem jest jednak, że pomieszczenia będące ongiś bazą szkoleniową, są niewykorzystane i niszczeją. Zacieki na ścianach, dziury w suficie... Dzieje się tak mimo sporej aktywności ze strony Wydziału Inwestycji i Remontów WUSW, by obiekt uratować: przeprowadzono izolację ścian, odgrzybienie, położono tynki, zgromadzono blachę miedzianą na dach. Ale inwestycyjne starania utknęły w zarodku, w budżecie MSW bowiem brak stosownych środków i ambitne plany kierownictwa WUSW, by obiekt w całości przeznaczyć na potrzeby resortowej służby zdrowia — mogą spełznąć na niczym. Na ten wymarzony dla rekonwalescentów zakątek już ostrzy sobie... portfel pewien multimilioner z Lubelszczyzny, inwestujący w rozwój bazy hotelowej...

Czy wznoszony obok pałacu pawilon dla przewlekle chorych szpitala WUSW zdąży przyjąć pierwszych pacjentów? Lubelscy milicjanci mają wątpliwości: „Zbudowaliśmy w czynie społecznym ośrodek wczasowy nad jeziorem Firlej — sprzedano go za psie pieniądze jednej z fabryk. Zbudowaliśmy w czynie społecznym ośrodek wczasowy nad jeziorem Białym k. Włodawy — utraciliśmy go w wyniku reorganizacji w 1975 roku. Albo ta Jabłonna — dlaczego resortu nie stać, by uratować ją dla nas i naszych dzieci? Jeśli nie zaczniemy być mądrzejsi między sobą (i dla siebie), to nadal będą się z nas śmiać. I to głośno". Tak mówią milicjanci.

HE-MAK



Kiedy kilka miesięcy temu, przed ogłoszeniem moratorium na wykonywanie w Polsce kary śmierci, jedno z więzień w kraju zamierzało zatrudnić kata, zgłosiło się około dwudziestu osób chętnych do podjęcia tego typu zajęcia (część z nich stanowili nauczyciele). Postanowiliśmy zająć się tą problematyką.

Przez wiele tygodni staraliśmy się dotrzeć do osób, które do dnia dzisiejszego zatrudnione są jako kaci. Zgodę wyraziła w końcu osoba, która powiedziała...

ROZMOWA Z KATEM

— Mój warunek jest następujący — nie chcę, by w waszym artykule pojawiła się bodaj jedna wzmianka, na podstawie której można by mnie zidentyfikować.

— Ile dotąd wykonał pan wyroków śmierci?

— Trzy.

— Czy jest pan wierzący?

— Tak.

— Jaką wiarę pan wyznaje?

— ...

— W każdej wierze, w takiej lub innej formie, istnieje przykazanie „nie zabijaj". W jaki sposób godzi pan swoją wiarę z jednym z jej przykazań?

— Bóg, mimo że jest miłosierną istotą, widząc szerzące się na Ziemi zło kazał morzu wystąpić z brzegów, to on spuścił na zdeprawowanych w Sodomie i Gomorze karzący ogień...

— To jednak było dziełem Boga, my natomiast jesteśmy ludźmi, którzy mają się podporządkowywać jego prawu. O tym mówi każda wiara.

— Z woli Boga ludzie również stają się narzędziami, którymi posługuje się on przy wymierzaniu sprawiedliwości.

— Czy właśnie z tego powodu podjął się pan swego czasu tego zajęcia?

— ...

— Czy w momentach, w których wykonywał pan wyroki, nie miał pan wątpliwości, że być może wiesza pan niewinnych ludzi?

— W wypadkach, w których przyszło mi to robić, byłem pewien, że ludzie ci zasługują na najwyższy wymiar kary.

— Swego czasu miała miejsce w Polsce tzw. afera mięsna. Jeden ze skazanych został stracony — tak wówczas zadecydował sąd. Dziś człowiek ten, zapewne, otrzymałby długoletni wyrok.

— Rozumiem, do czego panowie zmierzają. W tamtych trzech wypadkach, kiedy przyszło mi wykonać egzekucję, nikt nie miał i nie będzie miał nigdy takich wątpliwości.

— Wnioskujemy stąd, że jest pan przekonany o tym, że w społeczeństwie istnieją jednostki, które stanowiąc zagrożenie dla obywateli, powinny być fizycznie wyeliminowane.

— Tak.

— Jest pan żonaty?

— Tak.

— Czy pańska żona wie...

— Nie.

— Ma pan dzieci?

— Tak i sądzę, że wychowałem je na uczciwych obywateli.

— Ile osób orientuje się, że jest pan katem?

— ... Dokładnie ... (chwila skupienia) ... 24 osoby.

— W jednym z więzień, gdzie robiliśmy reportaże o celi śmierci, próbowaliśmy rozmawiać ze strażnikiem uczestniczącym przy wykonywaniu wyroków. Kiedy chcieliśmy rozmawiać z nim na ten temat, niemal uciekł z pokoju, w którym byliśmy.

— Dziwi się pan?

— Chodzi mi o to, że ów człowiek bał się nawet wracać myślą do tamtej chwili. Nim wyszedł z pokoju, powiedział, że nie chce przez najbliższych kilkanaście nocy męczyć się z tym koszmarem.

— Kiedy podjąłem się tego zajęcia, nie miałem żadnych wątpliwości, że postępuję słusznie. Dziś również ich nie mam. Ci ludzie byli groźni dla społeczeństwa, musieli być z niego wyeliminowani.

— Co należało do pańskich obowiązków podczas wykonywania kary śmierci?

— Założenie skazanemu na oczy opaski, założenie mu pętli, zwolnienie dźwigni zapadni, zdjęcie skazanego ze sznura, uprzątnięcie pomieszczenia i doprowadzenie celi do uprzedniego stanu.

— Jakie były ostatnie życzenia skazanych?

— Za każdym razem chodziło o zapalenie papierosa.

— Wszyscy spokojnie godzili się z tym, co za chwilę nastąpi?

— Różnie to wyglądało. Raz trzeba było użyć siły...

— Co mówili przed śmiercią?

— Że są niewinni.

— Co robił pan po wykonaniu wyroku i opuszczeniu murów więzienia?

— Wracałem do domu.

— I spokojnie jadł pan posiłek, brał pan dzieci na kolana?

— Sugerujecie, że wykonywanie owych wyroków sprawiało mi przyjemność?

— Mimo wszystko w jakiś sposób musiał pan wrócić do rzeczywistości, tej dobrej, uśmiechniętej.

— ...

— Nie chce pan mówić na ten temat?

— ... Przez pierwsze dni trochę może piłem, niedużo, ... trochę.

— Czy za wykonanie wyroku śmierci panu płacono?

— Tak.

— Jakie to były sumy?

— Nie robiłem tego dla pieniędzy. Za każdym razem wpłacałem pieniądze na jakiś charytatywny cel.

— Co sądzi pan o niedawno ogłoszonym przez Sejm pięcioletnim moratorium na wykonywanie kary śmierci?

— Uważam to za słuszne.

— Pan?

— Dlaczego nie, cóż w tym dziwnego? W wypadkach, w których przyszło mi wykonywać wyroki byłem reprezentantem prawa, to wszystko.

— Część społeczeństwa z tym się jednak nie zgadza.

— Jak duża jest to grupa ludzi, powinno ujawnić głosowanie całego społeczeństwa. Posłowie mogą jednak nadawać określony impuls, wypowiadać swoje i wyborców zdanie na głos. Czy jest ono słuszne, czy nie, powinno zadecydować właśnie referendum.

— W jakim czasie, przed wykonaniem wyroku, musiał się pan stawić w więzieniu?

— Na tyle, by przygotować celę...

— Czy obowiązywał pana jakiś szczególny strój?

— Zgodnie z wymogami cała ta sprawa ma być przeprowadzona z godnością i powagą. Zawsze ubierałem się w białą koszulę, czarny garnitur, takiego samego koloru skarpety, pantofle.

— Czy do dziś obowiązuje formuła, że po wykonaniu kary śmierci kat zdejmuje z dłoni rękawiczki i rzucając je na ciało skazanego mówi: „Nie jestem winien tej śmierci"?

— Nigdy nic takiego nie robiłem. I jeszcze jedno. Chciałbym zaznaczyć, że nie byłem katem. To znaczy nie byłem nim w znaczeniu, które nadaje się temu słowu. Kat za każdym razem kojarzy się z kimś, kto ma na głowie kaptur i topór w ręku. Ja byłem reprezentantem państwa, którego prawo wydało na określonego człowieka taki a nie inny wyrok. Działałem w imieniu tych, którzy uznali, że tego typu kara jest w Polsce potrzebna.

— Mimo to wątpimy, aby sędzia, który mówi: „Sąd skazuje takiego to a takiego na wyrok śmierci" zdolny był do powieszenia skazanego.

— Dlatego są tacy ludzie jak ja.

— Czy po upływie pięciu lat, gdyby moratorium nie zostało utrzymane, zgodziłby się pan nadal wykonywać wyroki?

— ...

rozmawiali
PAWEŁ SZLACHETKO
i JERZY KIRZYŃSKI

HENRYK MAKARSKI

BEZ MIECZA W DŁONI

— Panie prezesie, w rejonie działania sądu, którym pan kieruje, są dwie jednostki milicyjne wielkości RUSW. Czy może pan ocenić wartość materiałów dowodowych, dostarczanych przez milicję? — pytam prezesa Sądu Rejonowego w Puławach, sędziego Krzysztofa Nowackiego. W rozmowie uczestniczy też przewodniczący wydziału karnego tegoż sądu, sędzia Marian Wróbel.

— Jeszcze kilka lat temu RUSW w Rykach był wzorem dokładności w zakresie przygotowywania postępowań i przestrzegania przepisów k.p.k. w dziedzinie współpracy z sądem. Ale to przeszłość. W ostatnich 2—3 latach nastąpiło pogorszenie, zresztą nie tylko w Rykach. Dowody rzeczowe są pomocne sądowi zwłaszcza w sprawach o bimbrownictwo, w większości przypadków wręcz decydowały o skazaniu. Sędzia musi te dowody zobaczyć na własne oczy, no i co widzi? Widzi stare zardzewiałe rurki zgromadzone przez chłopa na wszelki wypadek, „bo się mogą kiedyś przydać", albo stary przerdzewiały parnik, bez śladów używania, ba, niekiedy nawet zarośnięty pajęczyną. A milicjant uparcie twierdzi, że to dowód świadczący o uprawianiu bimbrownictwa... Dla sędziego istotne jest też, czy to „aparatura lege artis" czy bańka po mleku, dostosowana do nielegalnej produkcji spirytusu; od tego zależy wyrok.

— Skarżą się milicjanci, że napracują się, dołączą do akt sążnisty wykaz dowodów rzeczowych, a sąd kręci nosem...

— Proszę pana, rzecz nie w liczbie dowodów. Nie zawsze świadczy ona o pracowitości funkcjonariuszy ani o sile oskarżenia. Niekiedy jest przykładem niefrasobliwości czy wręcz bezmyślności, gdy dołącza się dowody rzeczowe nie mające żadnego związku z daną sprawą. Klasycznym przykładem jest sprawa z Dęblina, w której pracownicę PKP oskarżono o próbę wręczenia łapówki funkcjonariuszowi komisariatu kolejowego MO w kwocie 27 000 zł. Do akt sprawy dołączono wykaz dowodów rzeczowych (101 pozycji!) oraz... worek z tymi „dowodami", zawierający m.in.: komplet palników do spawania gazowego, wiertarki do betonu, stolik do pilarki, imadło, klucze, żarówki, odzież roboczą itp. Milicja wygarnęła wszystko z mieszkania podejrzanej (mieszkającej razem z teściową...), co mogło pochodzić z przestępstwa, no i zamiast wszcząć odrębne dochodzenie, cały ten śmietnik dołączyła do sprawy łapowniczej. Prokuratura odepchnęła ten anonimowy balast w stronę sądu, a sąd już nie miał komu tego przekazać i... zaczęło się. Nie wiadomo było, co jest czyje i do czego. Oskarżona o wręczenie łapówki napisała skargę, żądając zwrotu połowy rzeczy, stanowiących jej własność. Sąd postanowił zwrócić tylko część, ona napisała zażalenie na to postanowienie. Sąd zwrócił akta sprawy do Komisariatu Kolejowego MO w Dęblinie (rejon Ryk), celem ustosunkowania się funkcjonariusza prowadzącego dochodzenie, w formie propozycji: które przedmioty należy zwrócić jej, a które PKP. Milicjant odpowiedział: „Wszystko jest własnością PKP..." Sąd zwrócił się z pismem do PKP. PKP powołały specjalną komisję, która deliberowała przez 2 dni, razem z 5 pracownikami sądu, co z tymi „fantami" począć... Oskarżona nie mogąc się doczekać końca, ponowiła skargę. Sąd w składzie 3 sędziów(!) postanawia wreszcie zwrócić PKP kilkanaście pozycji (do tych kolej się przyznała), a resztę oskarżonej. Reasumując — milicja podrzuciła sądowi „kukułcze jajo", zamiast we własnym zakresie sprawę załatwić, powołując — w razie potrzeby — stosowne komisje, na miejscu. Podobny pasztet, też z Dęblina, dotyczył kradzieży materiałów instalacyjnych z budowy. Milicjanci z mieszkania podejrzanego „co zastali, to zabrali", wszystkie krany i rurki, do których później żadne z przedsiębiorstw nie chciało się przyznać, no i musieliśmy je zwrócić oskarżonemu, po roku... Tyle z rejonu Ryk, w których kiedyś było dobrze. W Puławach natomiast nigdy nie było zbyt różowo w zakresie dopracowania dowodów, no, może z wyjątkiem Posterunku MO w Końskowoli. Przykład z rejonu Puław: śmiertelny wypadek drogowy w Kurowie, zderzenie ciężarówki z nysą, 2 ofiary śmiertelne i zaniedbania milicji w zakresie zabezpieczenia dowodów rzeczowych.

— W czym tkwi przyczyna, zdaniem pana prezesa, takiego stanu rzeczy?

— Być może w przepracowaniu milicji, ale przede wszystkim — w niedoszkoleniu funkcjonariuszy, którzy na siłę szukają dowodów, byle tylko czymś podeprzeć sprawę i mieć ją z głowy. Oprócz rzetelności dowodów rzeczowych mam zastrzeżenie do współpracy z RUSW na co dzień. Na przykład sąd zwraca się o doprowadzenie świadka czy oskarżonego i pozostaje to bez echa. Muszę sięgać po słuchawkę i osobiście prosić kogoś z kierownictwa RUSW, no i wtedy, owszem, jestem załatwiony uprzejmie i skutecznie. Czy nie powinna wystarczyć droga urzędowa? Nawet milicjanci się nie stawiają w charakterze świadków i trzeba ich szukać. No i często sami sobie dodają niepotrzebnej roboty, np. gdy kilku zajmuje się wypadkiem drogowym, sądowi wystarczy za świadka tylko jeden, ten co wykonuje oględziny, a stawiają się wszyscy.

— Co pan na to? — zwracam się do szefa RUSW w Puławach ppłk. Damazego Hermana.

— Najpierw o tym śmiertelnym wypadku. Nietrzeźwy kierowca ciężarówki wracał z wiejskiej zabawy, z przeciwnej strony jechała nysa, z amatorami tejże zabawy. Obaj kierowcy wzajemnie oskarżali się o zajechanie drogi, świadków nie było, noc. Żeby dokładnie przedstawić sprawę biegłemu, muszą być wyraźne ślady, np. hamowania. Było i mokro, i ślisko, i ciemno, oględziny niezbyt się udały. Powtórzono je więc w lepszych warunkach. Kierowcę ciężarówki skazano na 4 lata pozbawienia wolności.

— A dowody rzeczowe?

— Wiadomo, w procesie karnym stanowią najważniejsze ogniwo w łańcuchu oskarżenia. Niestety, proces liberalizacji prawa karnego doprowadza do bezsilności organów ścigania. Skoro sprawca może bezczelnie wyprzeć się wszystkiego, a sąd (prokurator) daje wiarę nieprawdopodobnym wręcz bajeczkom...

— Czy to nie nazbyt ostry osąd sądu?

— Proszę bardzo, konkretne przykłady. Pierwszy: „ja ten łom, co go miałem za pasem, jak mnie milicja złapała, znalazłem na ulicy..." Badania mechanoskopijne potwierdzają, że tym właśnie łomem dokonano włamania... Drugi przykład: obywatel przez okno widzi, w nocy, mężczyznę, który wsiada do jego nysy i odjeżdża. Zaalarmowana milicja szybko zatrzymuje nietrzeźwego złodzieja notabene już karanego kiedyś za podobny czyn. Sprawa ewidentna? A skąd! Prokurator odstępuje od oskarżenia, wobec następującej wersji: „tą nysą to podjechał kolega i zaproponował: chcesz się przejechać? To wsiadaj i jedź..." W efekcie — został ukarany tylko za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwości... Trzeci przykład. Funkcjonariusze siedzą „na zasadzce" w okolicy Zakładów Azotowych, zatrzymują mężczyzn, którzy w nocy wynoszą łup w postaci kilkunastu kilogramów wędlin i przetworów mięsnych, mięsa, kotletów, skradzionych z zakładowej stołówki. „Milicjanci kłamią! Myśmy to wszystko znaleźli w lesie, leżało sobie pod drzewem..." — tłumaczą się i... sprawa zostaje umorzona. Czwarty przykład. Milicja zatrzymała sprawcę włamania do piwnicy, podczas zasadzki. Dwóch jego kompanów zdołało zbiec, porzucając łupy. Mówi, że MO go się czepia, bo te przedmioty znalazł na ulicy. Co takiego ludzie „gubią"? Proszę bardzo: 2 opony samochodowe, 4 wędki, butlę gazową 4-kilogramową, palnik do butli, dwa kanistry napełnione benzyną i ubrania robocze. To wszystko rzekomo znalazł sobie — po prostu na ulicy.

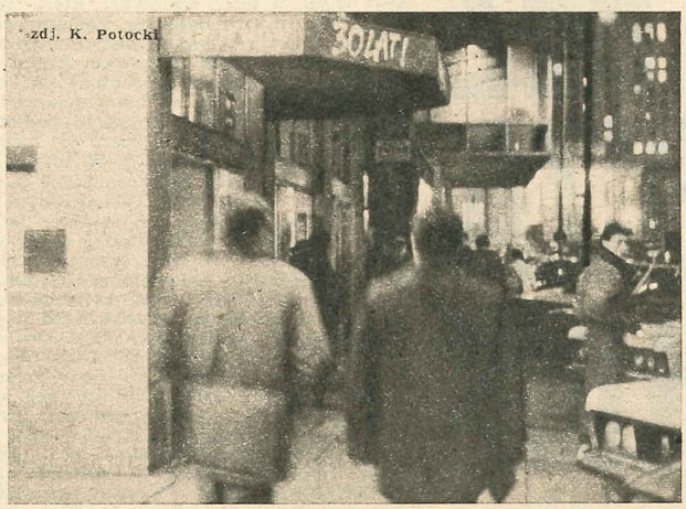
— Czy i tym razem dobrotliwy prokurator uwierzył podejrzanemu przez MO?

— Zobaczymy. Jeszcze dwa przykłady. Mieszkanka Puław wraca do domu, VI piętro. A w mieszkaniu grasuje włamywacz, wybita szyba balkonowa, wszedł z klatki schodowej. Co robi obywatelka? Szybko telefonuje na milicję, ta jeszcze szybciej przyjeżdża i zatrzymuje sprawcę. Niestety, nie postawiono go w stan oskarżenia, bo oświadczył w prokuraturze: „wybiłem szybę, by trafić do aresztu, taki miałem kaprys!" Recydywistę, karanego już za włamania mieszkaniowe, zwolniono w majestacie prawa. Albo: „wybiłem szybę w sklepie, owszem, ale tylko dlatego, że chciałem się wewnątrz przespać..." Prokurator uwierzył.

— Jak więc wyjść z tego absurdu?

— Chyba trzeba czyhać w zasadzce razem z prokuratorem i sędzią, dokumentując zdarzenie na taśmie wideo. A jeżeli sprawca oświadczy, że wszedł do sklepu, bo chciał zrobić w nim porządki, wyręczyć leniwe ekspedientki, to co wtedy? Co do współpracy z sądem. My nie dodajemy sobie roboty, jak twierdzi pan sędzia; to prokurator wymaga, by stawili się wszyscy funkcjonariusze, którzy dokumentowali wypadek drogowy, nawet protokolant. No, a z tymi doprowadzeniami, to też medal o dwóch stronach. Milicjant jest bezsilny, gdy sąd przysyła wezwanie do zatrzymania w ostatniej chwili. Potrzebne jest wyprzedzenie, by dać szansę na zatrzymanie w porze wieczorowej, wtedy najłatwiej. A ile razy prokurator czy sędzia skorzystali ze swoich uprawnień i ukarali za niestawiennictwo? Nie przypominam sobie ani jednego przypadku. Jeżeli milicji coraz bardziej utrudnia się dotarcie do sprawcy i jego mieszkania, nasuwa się pytanie: KTO UKŁADA PRAWO? Czy w tej kwestii ma decydować tylko adwokat i układać przepisy tak, jak mu wygodniej? Wypada przypomnieć, że jest tylko jedna rzecz straszniejsza od niesprawiedliwości: sprawiedliwość bez miecza w dłoni.

ZADYMA W DYSKOTECE



zdj. K. Potocki

Przybyły na miejsce lekarz pogotowia nie miał tu już nic do roboty. Chłopak leżał martwy w kałuży krwi. Dostał kilkanaście ciosów nożem, w tym dwa w pachwinę, które spowodowały wykrwawienie. W ciągu kilkunastu minut 16-letni Igor, uczeń II klasy LO stracił życie. Napadu dokonano nie w odludnym miejscu, a w samym sercu Warszawy (na ul. Kniewskiego przy zejściu do domów „Centrum") i nie późną nocą, a około godz. 22.00, gdy na ulicy było jeszcze wielu ludzi.

Ofiara zbrodni była zupełnie przypadkowa, mniej przypadkowy był skład grupy napastników. Było ich sześcioro, 4 chłopców i 2 dziewczyny. Znali się z widzenia, nie wiedzieli, gdzie kto mieszka, co robi, nawet jak się nazywa, używali jedynie pseudonimów. Poznali się kiedyś na koncercie rockowym i spotykali potem przypadkowo na dyskotekach, imprezach rockowych, w „Hybrydach", w „Akwarium".

5 grudnia 1989 r., jak w każdy wtorek, byli w RAP-klubie w „Hybrydach", „Starszy Fraglers", „Młodszy Fraglers" i „Diabeł" wypili wcześniej kilka win i byli już nieźle podcięci. „Kiksę" zastali w klubie jak zawsze, potem dołączyli do nich jeszcze „Sabik" i Ewa. Słuchali muzyki i pili wino, potem drinki na ginie i whisky. Około godz. 21.00 zaczęła się rozróba. Sprowokowali jak zwykle skini, któryś z nich ostentacyjnie zapalił papierosa na parkiecie, interweniowali bramkarze, zaczęły się przepychanki, „Sabik" zbił szybę, kilka osób wyrzucono, kilka wepchnęło się z powrotem. „Fraglersi", „Diabeł" i „Sabik" z Ewą znaleźli się na ulicy. Chcieli wrócić, ale nie mieli już forsy na wstęp. Wtedy napatoczył się Igor. Tego wieczoru również był w „Hybrydach") wyszedł właśnie z klubu razem z Kaśką, miał ją odprowadzić do domu. Chyba szedł jak na skrzydłach, bo o Kaśkę rywalizowali chłopcy i tego wieczoru losowali, który ma ją odprowadzić. Szczęście uśmiechnęło się do Igora. Dziś jego koledzy mówią, że wylosował śmierć...

„Starszy Fraglers" zastąpił mu drogę, zażądał, by oddał mu swój bilet wstępu i pieniądze, zaczął szarpać. Igor wyjął wszystko, co miał w kieszeniach, było tego 300 zł. „Starszy Fraglers" wściekł się, uderzył, aż Igor zatoczył się na ścianę, doskoczyli pozostali, bijąc i kopiąc, gdzie popadło. Zapędzili Igora do podziemia przy DT „Centrum". „Kiksa" i Ewa uciekły wyżej, zabierając ze sobą Kaśkę, dziewczynę Igora. Z góry obserwowały, co się działo. Dziś twierdzą, że nie potrafią odtworzyć przebiegu zdarzeń, była taka szarpanina, że nie widziały, kto jakie zadawał ciosy. Zobaczyły tylko, że po którymś uderzeniu Igor upadł zalany krwią i już się nie podniósł. Kaśka kilkakrotnie chciała biec dzwonić po milicję, ale jej nie pozwalały.

„Sabik" i „Młodszy Fraglers" też nie pamiętają szczegółów, zarejestrowali zdarzenia dopiero od chwili, gdy „St. Fraglers" dźgnął chłopaka nożem.

— Zobaczyłem, że „St. Fraglers" wyciągnął z kieszeni nóż. To był mój składany scyzoryk o kilku ostrzach, dałem mu go jeszcze w klubie do otwierania wina. Najdłuższym ostrzem uderzył tego chłopaka raz i drugi. Obydwaj z „Mł. Fraglersem" zaczęliśmy mu go wyrywać, mnie się udało i odrzuciłem ten nóż gdzieś daleko za siebie — mówi „Sabik".

Potem uciekli. Zostawili skulonego, nieruchomego chłopaka na ziemi, w kałuży krwi. Dopiero wtedy Ewa i „Kiksa" puściły Kaśkę. Wpadła do „Hybryd" roztrzęsiona i prosiła, żeby dzwonić po pogotowie. Gdy przybyło, Igor już nie żył..

Jego oprawcy w tym czasie spokojnie jechali do domów. „Sabik" odwoził swoją dziewczynę, tak samo jak miał zamiar zrobić Igor, nim go dopadli.

16-letni Hubert, ps. „Sabik", najmłodszy z grupy, uczeń II klasy szkoły zawodowej, jest rówieśnikiem ofiary. Dziś mówi, że nie wie, jak to się stało, byli pijani, ta draka wynikła nie wiadomo z czego. W izbie dziecka, gdzie czeka na odwiezienie do schroniska dla nieletnich wciąż powtarza, że nie on zadawał ciosy. Płacze, gdy mówi o swojej babci, jedynej zdaje się osobie, z którą związany jest uczuciowo. Nienawidzi macochy, ma pretensje do ojca, ich obwinia za swoje takie, a nie inne dzieciństwo. Wysoki, dobrze zbudowany, w izbie dziecka jest jakby przez pomyłkę, bo z dzieckiem już dawno nie ma nic wspólnego. Tylko prawnie, z racji wieku. Ma zdumiewająco dobre rozeznanie w kodeksie karnym, posługując się przy tym przestępczą gwarą. Boi się, wciąż się boi, że koledzy będą chcieli zwalić wszystko na niego, bo jest nieletni, nie grozi mu więc praktycznie żadna kara.

„Sabik" jest skinem. Ich filozofia życia to negacja wszystkiego, nieuznawanie żadnych autorytetów. Skini są agresywni, prowokują awantury, ich dewizą jest bić wszystkich. Chętnie łączą się z nazistami i posługują ich ideologią, którą znają tylko po łebkach, z tego co najbardziej prymitywne i efekciarskie. 16-letni „Sabik" z pełną powagą mówi: — Chcemy, żeby Polska była tylko dla Polaków, żeby wyniosły się stąd wszystkie Araby, Żydy, Murzyny i inne nacje. Nienawidzimy też Niemców za to, że mordowali Polaków...

Podobną filozofię głosi „Młodszy Fraglers", który uważa się za narodowca. 21-letni technik elektronik nie przepracował w tym zawodzie ani dnia i jak na razie pozostaje na utrzymaniu rodziców. „Mł. Fraglers" był pod koniec listopada zatrzymany jako podejrzany do sprawy napadu na lokal PPS-RD. Po przesłuchaniu w prokuraturze został zwolniony. Nadal bawił się w dyskotekach, łaził z kumplami, brał udział w rozróbach. Powtarza, że z zabójstwem nie ma nic wspólnego.

„Starszy Fraglers" do niczego się nie przyznaje, twierdzi, że nic nie pamięta. Odbywa właśnie służbę wojskową, a 5 grudnia był na urlopie. W „Hybrydach" bywał rzadko, z tą akurat grupą spotkał się przypad-

SAMI SWOI

Telefoniczna informacja brzmiała lakonicznie. Głos kobiecy stwierdził, że w mieszkaniu są dwa trupy. Rozmówczyni poprosiła, by coś z nimi zrobić, bo zawadzają i nim odłożyła słuchawkę dyżurny, odbierający telefon w DUSW w Krakowie-Śródmieściu, zdążył jeszcze zapytać o adres. „Długa 4", usłyszał w odpowiedzi.

W kilka minut później ekipa dochodzeniowo-śledcza z DUSW Kraków-Śródmieście była na miejscu. W pijackiej melinie niezbyt zainteresowana wizytą funkcjonariuszy MO kobieta wskazała ręką leżące na podłodze ciała dwóch mężczyzn. Na niemiłosiernie brudnym parkiecie widniały ślady zakrzepłej krwi. Podobnie jak i na ubraniach denatów i domowym sprzęcie. Rany, które otrzymali, zostały zadane najprawdopodobniej nożem. Jeden z mężczyzn leżał zwinięty w kłębek pod zlewem w kuchni, drugi w przejściu do pokoju, którego centrum stanowił stół zastawiony pustymi butelkami po denaturacie.

Siedząca przy nim pani Basia, bo tak przedstawiła się funkcjonariuszom, przyznała, iż to ona zawiadomiła milicję. Na pytanie, czy potrafi rozpoznać obu nieżyjących, odrzekła, że oczywiście. Józek był przecież jej narzeczonym, u niego właśnie mieszkała od paru miesięcy. Leżący obok to „Zioło". Był stałym bywalcem, przyjaźnił się z Józkiem, razem chodzili na robotę, razem pili.

Trzeba było dużo cierpliwości i spokoju, by dowiedzieć się od pijanej kobiety, co zaszło dwa dni wcześniej. Jej kochanek komuś zaproponował włamanie do spożywczaka. Mieli wziąć kawę za 400 tys. zł. Na to konto „Kawula", tj. narzeczony, wyszedł po denaturat, by oblać sprawę. Niestety, tego dnia do domu nie wrócił, przez co do włamania nie doszło. Za to nazajutrz pojawił się w towarzystwie trzech swoich kompanów. Pani Basia nie może sobie teraz przypomnieć, czy już ich kiedyś widziała. Ale chyba tak. Wołali na nich „Kajtek" i „Siwy". Trzecim był bardziej znany „Zioło". Planowali już kiedyś włamanie w tym składzie, tyle że im nie wyszło. Teraz znowu rozmawiali o kawie za 400 tys. zł w spożywczaku.

Ten drugi już raz planowany skok znowu postanowili oblać denaturatem. „Kawula" jak zwykle wybrał się do sklepu po denaturat. W tym czasie podobno pani Basia i „Zioło" pochwalili się gościom dobrami pozostałymi z poprzedniego włamania do mieszkania. Był to jakiś aparat fotograficzny z wbudowaną na stałe lampą błyskową, biżuteria (jak się później okazało z tombaku) i banknot 20-dolarowy.

Kiedy „Kawula" wrócił, przy denaturatowej biesiadzie doszło do wywołanej przez gości awantury. „Kajtek" i „Siwy" rzucili się na „Kawulę". Szamotanina trwała dotąd, aż „Kajtek" wyciągnął nóż i bez większego namysłu kilkakrotnie wbił jego ostrze w leżącego na podłodze „Kawulę". W jego obronie stanął „Zioło", więc także otrzymał kilka śmiertelnych ciosów.

Następnie „Kajtek" i „Siwy" podeszli z nożem do pani Basi. Według jej relacji najpierw ją zgwałcili, a potem pytali, gdzie jest reszta łupów z włamania. Ponieważ nic więcej w domu nie było, pobili ją i poszli zabierając to, co znaleźli.

Dopiero po dwóch dniach pani Basia postanowiła powiadomić o wszystkim organa ścigania, bo ciała zabitych zaczęły przeszkadzać w kolejnych biesiadach.

„Siwego" znano w krakowskim półświatku. Był starym bywalcem plantów, dworca PKP, piwiarni. Pojawiał się tam, gdzie można było coś ukraść i przespać się w cieple. Dzielnicowy ze Śródmieścia także o nim słyszał i to niejednokrotnie. To właśnie on prawie jeszcze tego samego dnia, kiedy ujawniono zwłoki mężczyzn w melinie przy Długiej 4, dokładnie o godz. 0.30 namierzył „Siwego". Zatrzymał go w przejściu podziemnym między dworcem a plantami.

„Siwy" wyjaśnił, iż poznał „Kajtka" na dworcu. Zorientował się po jego tatuażach, że siedział, pochwalił się więc, że on też i w ten sposób zostali przyjaciółmi.

Po zabójstwie pojechali do Katowic. Odwiedzili innego przyjaciela „Kajtka" zwanego „Hanysem"...

Milicjanci z Krakowa wraz z „Siwym" ruszyli do Katowic. Tam zatrzymany przypomniał sobie, w której części miasta mieszka „Hanys" i wskazał odpowiednie drzwi. Mieszkanie stanowiło pijacką melinę. Zamieszkująca je rodzina o bogatej przeszłości kryminalnej, dobrze znała „Kajtka". Milicjanci znaleźli w mieszkaniu część tombakowej biżuterii pochodzącej z meliny przy Długiej w Krakowie. Udało się także zdobyć aktualne zdjęcie poszukiwanego zabójcy.

Milicjanci zwiedzili po kolei wszystkie katowickie meliny, gdzie można było spotkać „Kajtka", ale wszędzie według relacji stałych bywalców pojawiali się za późno.

Jego zdjęcie ukazało się w lokalnej telewizji w Krakowie, trafiło do prasy, a na koniec za pośrednictwem

kowo. Po całym zdarzeniu pojechał wraz z „Młodszym Fraglersem", ciotecznym bratem, do niego, a potem wrócił do Legionowa do rodziców. Kiedy kilka dni później milicja nie zastała go w domu „St. Fraglers" sam zgłosił się do DUSW Warszawa-Śródmieście z zapytaniem, o co chodzi. Robił wrażenie, jakby był zupełnie nieświadomy tego, co go czeka. Twierdzi, że 5 grudnia 1989 r. był tak pijany, iż nie pamięta, co działo się po wyjściu z klubu.

Ostatni z grupy, najstarszy, 23-letni „Diabeł" nie przyznaje się nawet do tego, że 5 grudnia był w „Hybrydach". Nigdzie nie pracuje, właściwie nie wiadomo też gdzie mieszka, bo w domu rodziców, w Brwinowie prawie nie przebywa. „Diabeł" był już karany, między innymi kilka miesięcy wcześniej za zdemolowanie domu kultury. Zadymę zrobili oczywiście skini. „Diabeł" jest jednym z nich.

Z wyjaśnień wszystkich czterech, dotyczących zarówno krytycznego dnia, jak i okoliczności, w których się poznali, widywali itp. wyłania się obraz ich codziennego życia. „Akwarium", „Hybrydy", spotkanie z kumplami w pasażu śródmiejskim, koncert rockowy, prywatka, wino, wódka, znowu koncert, prywatka, wino, dyskoteka... Ubrani w najmodniejsze ciuchy, w szpanerskie kurtki i buty zawsze dysponowali gotówką na alkohol, dobre papierosy. Niektórzy z nich należeli do grupy dumnie nazwanej z angielska „Official Chuligans". Działali w pasażu śródmiejskim, potrafili w biały dzień na oczach przechodniów obstąpić chłopaka, który miał modną kurtkę czy buty i rozebrać go z tego, pozbawić kogoś portfela, walnąć pięścią w zęby, wyrwać coś znienacka.

— Takich grup — mówią inspektorzy z Wydziału Kryminalnego DUSW Warszawa-Śródmieście — działa w tym rejonie kilka i poza doraźnymi interwencjami, gdy uda się złapać kogoś na gorącym uczynku, niewiele więcej można zrobić. Większość członków tych grup jest nieletnia. Należą do nich również dziewczyny, często dla draki, z nudów.

„Kiksa", 17-letnia panienka z dobrego, inteligenckiego i zamożnego domu, uczennica prywatnego liceum, była kilkakrotnie zatrzymywana na Mokotowie i Starówce za drobne kradzieże i „wyrwy". O swojej działalności napisała: „Zaczęłam chodzić na Starówkę w II klasie LO, tam poznałam sporo dziwnych ludzi. Na początku podobało mi się, że oni rządzą na Starówce, mogą robić, co chcą i nie ponoszą żadnych konsekwencji za swoje wybryki. Któregoś dnia spróbowałam tego samego, a mianowicie podejść do kogoś, bez powodu uderzyć go i zdjąć mu znaczki, które mi się nie podobały i wyrzucić je. Udało się. Gdy zobaczyłam, że nikt nie zwraca mi uwagi, robiłam to coraz częściej. Kilka razy za takie coś byłam na komendzie, ale skończyło się na rozmowie. Po pół roku znudziło mi się chodzenie na Starówkę i przebywanie w towarzystwie tamtych ludzi. Zaczęłam chodzić do RAP-klubu. Tam poznałam nowych ludzi, ale ze starymi też się jeszcze spotykałam. W czerwcu poznałam chłopców z grupy „Official Chuligans". Była to grupa około 15 chłopców, łaziliśmy razem w Śródmieściu, głównie w pasażu. (....) Co wtorek chodziłam do RAP-klubu w „Hybrydach". Za wstęp płaciłam sama, drinki stawiali chłopcy..."

O tym, że napadnięty przez jej kumpli Igor nie żyje, „Kiksa" dowiedziała się następnego dnia w „Hybrydach"

— Od razu poszłam do domu, bo zrobiło mi się słabo. Miałam zatelefonować na MO, ale bałam się, bo przecież byłam w tej grupie — mówi.

Również Ewa, ciesząca się dobrą opinią uczennica technikum, dziewczyna „Sabika", starsza od niego o dwa lata, o zabójstwie dowiedziała się nazajutrz. Ustalając najpierw pseudonimy, a potem nazwiska i adresy wszystkich napastników milicja dotarła do Ewy po kilku dniach. Panienka zeznała, że wyrzuty sumienia dręczyły ją tak bardzo, iż po paru dniach zwierzyła się z tego, czego była świadkiem, swojej wychowawczyni i zamierzała zgłosić się na milicję...

16-letni Igor nie żyje, a jego rodzice wciąż zadają pytanie „dlaczego?" Rówieśnik Igora i trzech innych nieco starszych bywalców tego samego klubu stanie przed sądem, by odpowiedzieć na to pytanie. Ale odpowiedzi nie będzie, bo żaden z nich nie wie, dlaczego to zrobił. A dziesiątki podobnych do nich nadal będą szaleć w dyskotekach, pić drinki, niektórzy wszczynać zadymy, inni, gdy wypiją za dużo, szukać mocnych wrażeń po wyjściu...

ELŻBIETA SITEK

programu „997" ujrzeli je telewidzowie z całej Polski.

Po komunikacie w prasie i krakowskiej telewizji zgłosił się do WUSW taksówkarz, który rozpoznał obu podejrzanych, tj. „Kajtka" i „Siwego", i stwierdził, że w dniu zabójstwa obaj zamówili u niego kurs do Zabierzowa. Obawiali się po prostu, że pani Basia trochę szybciej wykaże obywatelską postawę i zawiadomi milicję o ich wyczynie. W takiej sytuacji spodziewali się, że dworzec PKP będzie obstawiony przez milicjantów. Do Katowic pojechali więc z Zabierzowa.

Na drugi dzień po emisji programu „997" dwaj pasażerowie pociągu relacji Częstochowa — Warszawa usiedli naprzeciw niewysokiego mężczyzny z charakterystycznym tatuażem na szyi, z napisem „Nemo Vita". Nie dając niczego poznać po sobie na dworcu w Piotrkowie Trybunalskim pobiegli do komisariatu MO. Zaalarmowani milicjanci po cywilnemu weszli do pociągu i po chwili prowadzili nie stawiającego zresztą oporu „Kajtka" do swojej placówki. Zatrzymany nie miał przy sobie żadnych dokumentów. Podał pierwsze lepsze zmyślone nazwisko.

Kiedy przywieziono go do Krakowa i dostał odpowiedni formularz do wypełnienia przed zatrzymaniem go w areszcie, zapomniał, jakie nazwisko podał w Piotrkowie i zrezygnował z dalszego kamuflażu. Przyznał, że nazywa się Jan C., pseudonim „Kajtek", i maczał palce w zabójstwie „Kawuli" i jego kolegi.

Pochodził z Bytomia. Był poszukiwany listem gończym za przestępstwa z art. 208, 210, 214 k.k. Ostatnio uciekł z Ośrodka Przystosowania Społecznego w Jaśle. Wcześniej odbył karę pozbawienia wolności.

Najczęściej włamywał się do samochodów. Wybierał duże, przestronne pojazdy, odjeżdżał nimi w zaciszne miejsca i na tylnym siedzeniu spędzał noce. Żył z tego, co ukradł. Trudno byłoby policzyć wszystkie przestępstwa, których się dopuścił.

Podobnie zresztą rzecz się miała z jego ofiarą. Jeszcze przy zwłokach znaleziono przedmioty pochodzące z kradzieży kieszonkowych. Nawet odszukano ich właścicieli, ludzi najczęściej starszych, którzy podali dokładny opis okoliczności, w jakich zostali okradzeni przez „Kawulę".

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI

policje świata



W jakich czasach żyjemy! Nawet w gmachu Scotland Yardu, w siedzibie najlepiej zorganizowanej i o nieposzlakowanej opinii policji świata, pewnej kobiecie skradziono portmonetkę z zawartością 40 funtów oraz karty kredytowe. Obrabowana została w pobliżu biura samego szefa „Metropolitan Police", czyli londyńskiej policji, sir Petera Imberta. Śledztwo prowadzi tamtejsza policja kryminalna. Dotychczas bez sukcesu. Okazuje się więc, że nawet wśród „świętych" znajdują się czarne owce. W każdym razie przypadek ten, dodany do całej serii ujawnionych w ostatnich latach, mocno obciąża kredyt zaufania do policjantów Jej Królewskiej Mości.

W październiku 1989 roku głośno odbił się skandal Guildford Four, kompromitujący policjantów z Surrey. Dając wiarę szczegółowemu śledztwu, zresztą popartemu przyznaniem się oskarżonych do zarzucanych im czynów, angielski wymiar sprawiedliwości skazał w 1974 roku trzech Irlandczyków i ich brytyjskiego wspólnika na dożywotnie pozbawienie wolności. Ich zbrodnia: dwa zamachy bombowe na bary w południowej części Wielkiej Brytanii, wskutek których 13 osób poniosło śmierć. Ale niedawno minister sprawiedliwości Królestwa unieważnił ten wyrok przyznając, że skazanie było nieprawne, oparte na nierzetelnym śledztwie, w którym dopuszczono się nieprawidłowości, po prostu na śledztwie „zmontowanym".

Te „nieprawidłowości" to manipulacja dowodami. Policjanci prowadzący to śledztwo „pomogli" podejrzanym do przyznania się, pomijając jednocześnie dowody na korzyść oskarżonych. W tej chwili kilku spośród policjantów jest obiektem wszczętego postępowania sądowego.

Tydzień po ujawnieniu tego skandalu przed sądem w Birmingham stanęło czterech inspektorów tamtejszej policji, w tym jeden będący od niedawna na emeryturze, pod zarzutem fałszywych zeznań. Na podstawie ich raportów, sporządzonych w 1987 roku, niejaki Keith Parchment skazany został na 5 lat pozbawienia wolności za kradzież. Mimo usilnych zaprzeczeń Keith Parchment spędził 2 lata w celach więzienia Królestwa, nim jego honor został oczyszczony. I w tym przypadku sędziowie rozpatrujący jego sprawę w apelacji, stwierdzili duże „nieprawidłowości" w prowadzonym śledztwie oraz przesłuchaniach policyjnych.

Okazuje się, że policja Birmingham wyspecjalizowała się w fałszowaniu dochodzeń. Liczne skargi skłoniły kierownictwo garnizonu policyjnego tego miasta do zbadania stosowanych tam praktyk. Rezultat: 59 funkcjonariuszy zwolnionych lub przeniesionych służbowo do innych miast.

Nie tak dawno, bo 16 listopada ub. roku sąd apelacyjny Londynu polecił uwolnić trzech młodych ludzi więzionych od 11 maja 1987 roku. Jako niezawodni kibice drużyny piłki nożnej Chelsea oskarżeni zostali przez policjantów kontrolujących kluby, zrzeszające sympatyków stołecznych drużyn, o zorganizowanie napadów i bójek z kibicami rywali.

Zarówno w śledztwie, jak i na rozprawie nie zaprzeczali oni, że są gorącymi kibicami klubu w Chelsea. Oburzeni byli traktowaniem ich jako chuliganów. Sąd jednak oparł się na zeznaniach policjantów, określając oskarżonych jako osobników „wyjątkowo złych i gwałtownych", po czym skazał ich na umieszczenie za kratkami. 25-letni Vincent Russel, 27-letni Terrence Last oraz 23-letni Stephen Hickmott przebywali w więzieniu 2 lata, nim sąd apelacyjny zrehabilitował ich stwierdzając, że dowody oskarżenia zostały po prostu sfałszowane.

Te zniekształcenia prawa, powtarzające się ostatnio, rzucają smugę cienia na utrwalony przez lata obraz nieskazitelnego angielskiego policjanta, zwanego popularnie „bobby".

na podst. „Le Figaro"
oprac. MARIAN OWCZAREK

PORZĄDEK PUBLICZNY ZA PUBLICZNĄ ZGODĄ

dokończenie ze s. 9

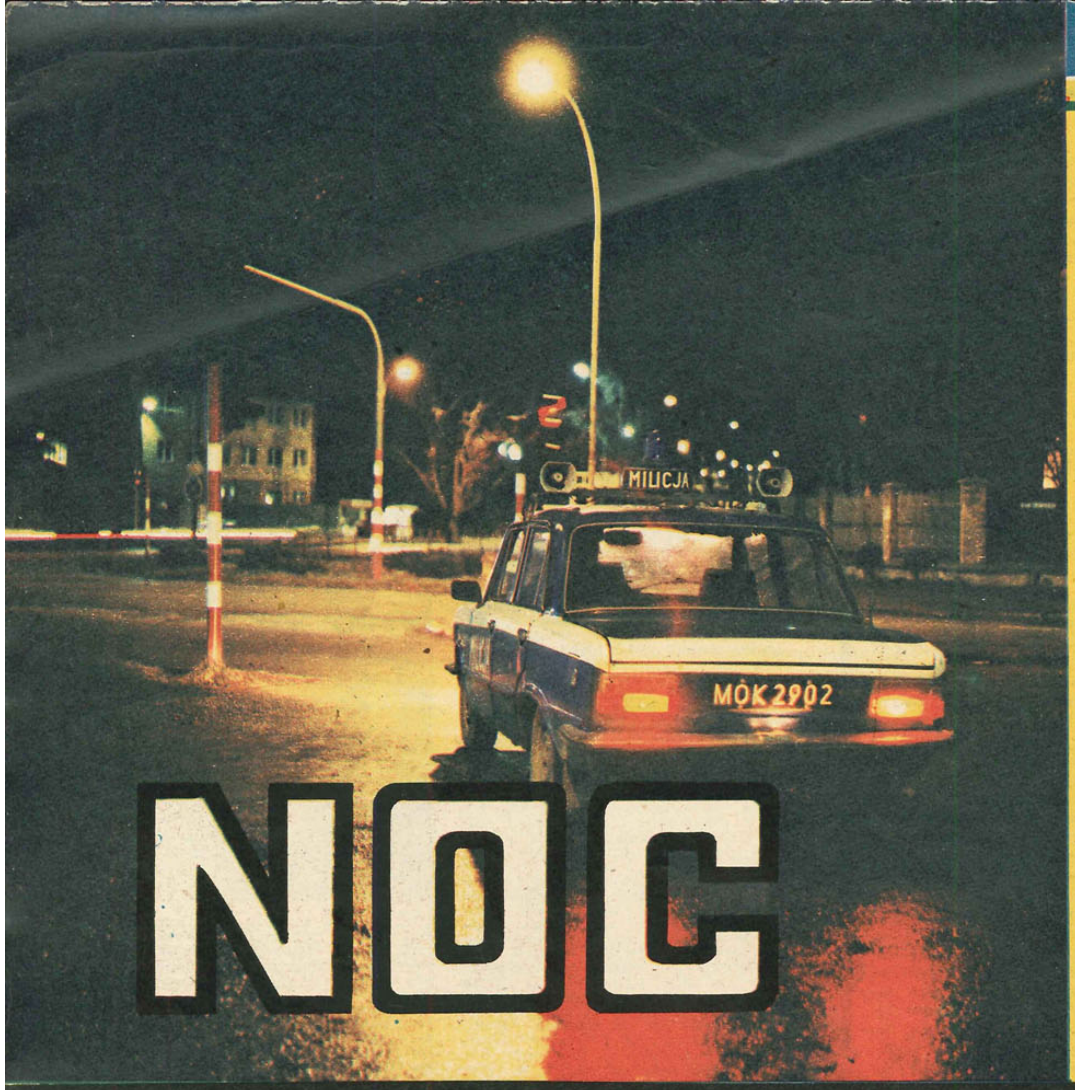
drobnych wykroczeniach coraz częściej stosowane jest tylko ustne upomnienie. Niemal każdy sprawca wykroczenia świadom jest faktu naruszenia prawa, toteż demonstrowana w ten sposób życzliwość policjanta odbierana jest niezwykle pozytywnie, a zakładaną dobrą wolę odwzajemnia większość obywateli. Odwołanie się do zrozumienia często działa bardziej dyscyplinująco niż spisanie czy ukaranie.

Podobnie postępuje się od niedawna również w przypadku wykroczeń powodowanych stanem technicznym pojazdu. Po stwierdzeniu drobnych usterek, zamiast nakazu natychmiastowego pozostawienia wozu, wydawany jest urzędowy blankiet zobowiązujący kierowcę do usunięcia uszkodzenia w ciągu 14 dni. Jeśli w podanym terminie zgłosi on dokonaną naprawę w najbliższym posterunku policji, wówczas sprawa uznana zostaje za zamkniętą, nie powodując żadnych konsekwencji.

Tajemnica i źródło społecznej sympatii wypływa wreszcie z faktu, że podobnie jak cała brytyjska, również londyńska policja drogowa nigdy nie nosi broni. Uzbrojenie jest niezbędne w przypadku zwalczania niektórych szerzących się przestępstw kryminalnych, jednakże nie w ruchu drogowym. Posiadany przez policjanta mundur i uprawnienia budzą dostateczny respekt, by zatrzymać pojazd, przeprowadzić kontrolę dokumentów, a także, by w określonych sytuacjach zatrzymać sprawcę i spowodować postawienie go przed sądem.

Naturalnie drogówka styka się z wieloma popełnianymi przy użyciu samochodu przestępstwami, ale te należą już do kompetencji policji kryminalnej. Jest ich zresztą w Wielkiej Brytanii najwięcej ze wszystkich krajów Europy. Każdego dnia zdarza się tam około 300 kradzieży samochodów, liczba „wypożyczanych" celem przejażdżki jest wielokrotnie większa.

na podst. „Magyar Rendör"
oprac. ELŻBIETA WRÓBEL
ilustr. Wiesław Fuglewicz



NOC NA SYGNALE

dzisiaj zaczęli, choć do dziesiątego jeszcze daleko.

W parę minut później zatrzymujemy się przed wskazanym przez dyżurnego blokiem. Wchodzimy do jednej z klatek. Pod kaloryferem siedzi skulona postać. Kiedy milicjant potrząsa śpiącego za ramię, tamten podnosi głowę. Ma nie więcej niż dwadzieścia lat.

— Proszę mnie nie dotykać, jestem chory na AIDS.

Milicjant odruchowo cofa się o krok, ale na jego twarzy maluje się wyraz niedowierzania.

— Proszę mi wierzyć, ja nie kłamię.

Chłopak wstaje. Nic nie wskazuje na to, by wypił choć jeden kieliszek. Milicjant spisuje jego personalia. Idzie do radiowozu, by sprawdzić, czy mówiący powiedział prawdę.

— Nie ma pan domu — próbuję zacząć rozmowę — że śpi pan na klatce?

— Kiedyś miałem.

— Jak to się stało?

Po paru minutach rozmowy udaje mi się usłyszeć od chłopaka prawdę.

— Miałem dziewczynę. Mieliśmy się za rok pobrać. Pojechała do Warszawy i tam puściła się z jakimś... — wzrusza ramionami — nie wiem, nie powiedziała mi. To od niego złapała... A ja od niej. Kiedy rodzice dowiedzieli się o tym, wyrzucili mnie z domu. Boją się mnie. Do domu wolno mi przychodzić tylko w ściśle określonych porach. Wtedy w przedpokoju dostaję jedzenie — uderza końcem buta w chlebak. — Tam mam swoją miskę i łyżkę. To wszystko, co mogę od nich dostać.

— A co z dziewczyną?

— Nie wiem.

— Zgłaszał się pan do poradni o jakąś pomoc?

— Jaką? Mówią, że dla takich jak ja w naszych szpitalach jeszcze nie ma miejsca.

Wraca mł. chor. Krzysztof Cichocki. Okazuje się, że chłopak mówi prawdę. Pozostawiamy go na schodach. My też nic dla niego nie możemy zrobić.



Tarnów, godziny popołudniowe. Siąpi zimny, nieprzyjemny deszczyk. W nadchodzącym zmroku ulice stają się szare. Ludzie tulą głowy w wysoko podniesione kołnierze palt, szybko przebiegając ulicami.

Przed Rejonowy Urząd Spraw Wewnętrznych zajeżdża radiowóz, w którym spędzę najbliższe 10 godzin. Czy coś ciekawego dla reportera może wydarzyć się w taką pogodę?

— Do tej pory nie brakowało roboty — mł. chor. Krzysztof Cichocki częstuje mnie papierosem. — Parę godzin temu dwóch młodych ludzi weszło do pewexu, jakoby z zamiarem kupna skórzanej kurtki. W dwie minuty później obaj wybiegli ze sklepu z 2400 dolarami USA, 300 dolarami kanadyjskimi i 50 markami RFN. Krzyk okradzionej kasjerki rozległ się wtedy, gdy dwaj złodzieje znikli już w tłumie.

— 04 do 023 zgłoś się!

Kierujący radiowozem podnosi mikrofon radiostacji. Otrzymujemy polecenie udania się na ul. Kościuszki.

— Na klatce schodowej śpi pijany. Weźcie go do izby wytrzeźwień.

— Zrozumiałem. Wykonuję. — milicjant odwraca się w moim kierunku. — Wcześnie



W parę minut później otrzymujemy polecenie ze stanowiska kierowania, by udać się na ul. Narutowicza.

Kiedy wchodzimy do klatki schodowej, nie mogę trafić dłonią na włącznik światła. Idziemy po ciemku. Rezygnuję z trzymania się poręczy, gdyż ta skrzypiąc niebezpiecznie chyboce się na boki. Wchodzimy do mieszkania, w którym pracuje już ekipa dochodzeniowa.

Na łóżku leży martwy Antoni K. ze sznurem owiniętym wokół szyi. Pukam do drzwi sąsiedniego mieszkania. Kobietę, która otwiera, pytam o sąsiada.

— On już dawno mówił, że się powiesi. Miał pod osiemdziesiątkę. Jak umarła mu żona, to zupełnie się załamał. Nie miał nikogo bliskiego. Gdyby nie siostra z PCK, to umarłby z głodu.

Wychodzę na ulicę. Deszcz już przestał padać. Uliczne latarnie odbijają się w błotnistych kałużach.

O godzinie 22.00 następuje zmiana załóg radiowozów, które patrolują miasto. Od tej chwili moimi przewodnikami po mieście będą: sierż. Zenon Cierpich i plut. Ryszard Dobrowolski.

Nim ruszymy w swoją trasę, jeden z milicjantów opowiada historię, która miała miejsce w momencie, gdy otrzymaliśmy zgłoszenie o samobójstwie.

Zenon D. przed paroma dniami opuścił mury zakładu karnego. Ponieważ nie bardzo wiedział, jak rozpocząć normalne życie, z radą znajomego zwrócił się do jednego z księży swojej parafii o finansowe wsparcie. Jak później powie: „Najpierw chciałem tę wolność oblać czymś mocniejszym, a potem zamierzałem już wziąć się do uczciwej roboty. Ksiądz dał mi na plebanii zwitek banknotów. Podziękowałem grzecznie. Kiedy wyszedłem przed budynek, byłem ciekaw, ile dostałem. Wyobrażacie sobie, panowie, dał mi osiem banknotów pięćdziesięciozłotowych. A niech to cholera. I się zeźlilem".

Zenon D. został ujęty przez załogę radiowozu w chwili, gdy demolował samochód należący do jednego z księży.

Inna relacja z wcześniejszych godzin służby. Zatrzymany na gorącym uczynku włamywacz (jak się później okazało recydywista, który otrzymał z zakładu karnego przepustkę na kilka dni w celu odwiedzenia rodziny) rzucił się na zatrzymujących go milicjantów z siekierą.

— Kiedy go zobaczyłem — mówi st. sierż. Jan Wójcik — wyciągnąłem pistolet, ale ten nadal rwał wprost na mnie. Krzyknąłem, że jestem funkcjonariuszem i oddałem w górę trzy strzały ostrzegawcze. Wtedy tamten się cofnął. Kiedy ruszyłem w jego kierunku z kolegami, ponownie rzucił się na mnie z siekierą. Gdy był ode mnie jakieś trzy kroki, strzeliłem mu pod nogi. Świst kuli i odgłos rozrywanego asfaltu zatrzymał go na ułamek sekundy. Wtedy koledzy, którzy zaszli go od tyłu, zdołali go obezwładnić.

Dochodzi godzina 23.00. Ulice Tarnowa powoli wyludniają się. W eterze ciągle jeszcze słyszę polecenia dyżurnego, by załoga któregoś z radiowozów podjęła uśmierzenie domowej awantury.

— Czy Tarnów jest bezpiecznym miastem? — spytałem kilka godzin wcześniej ppłk. Mariana Sarkowicza, szefa RUSW.

— Biorąc pod uwagę dane o przestępstwach z innych województw z kraju sądzę, że nasze miasto należy do bezpieczniejszych w Polsce. A mimo to tylko przez dziesięć miesięcy 1989 roku, straty poniesione w wyniku przestępstw dokonanych w Tarnowie szacujemy na 222 mln 360 tysięcy zł.

— Które z zagrożeń na dzień dzisiejszy, uważa pan za najgroźniejsze?

— Włamania, kradzieże, rozboje... można by na ten temat mówić wiele. Najistotniejsze, a zarazem najgroźniejsze jednak jest to, że coraz bardziej obniża się próg wieku ludzi dokonujących czyn przestępczy. Dziś coraz częściej mamy do czynienia już nie tylko z osiemnastolatkami, ale i chłopcami, którzy niedawno ukończyli 14 rok życia.

Radiowóz zatrzymuje się przy szosie wylotowej z miasta. W pół godziny później zatrzymamy pijanego taksówkarza, w którego krwi, jak określi alkomat, będzie znajdowało się 2,5 promila alkoholu. Podczas drogi przez cały czas zatrzymany kierowca będzie starał się „jakoś" załatwić tę sprawę. Im bliżej RUSW, tym cena wykupu będzie rosła.

— Pół roku temu — powie w godzinę później chor. Michał Ślęzak — ścigałem pijanego kierowcę, który po zabiciu przechodzącego przez pasy dziecka próbował uciec. Po półgodzinnej gonitwie tamten rozbił się w rowie. Kiedy go zatrzymywałem, pijany najspokojniej w świecie zaproponował mi pół miliona za to, bym puścił go wolno.

„Ch... z tym dzieckiem — powiedział wówczas — ono i tak już się przekręciło. Za to pan może teraz zrobić dobry interes".

tekst i zdjęcia
PAWEŁ SZLACHETKO





POSTERUNEK POLICJI PAŃSTWOWEJ
POWIATU WŁOSZCZOWSKIEGO
W LELOWIE

POLICYJNY BUDYNEK

Lelów to niewielka miejscowość w województwie częstochowskim. Załoga tamtejszego posterunku MO od lat utrzymuje I miejsce w wojewódzkiej rywalizacji posterunków gminnych. Jej członkowie, tacy jak sierż. Stanisław Zibernine i st. sierż. Marian Rodosz należą indywidualnie do pierwszej piątki posterunkowych.

Historia służb policyjnych w Lelowie sięga carskich czasów. W starym budynku jednostki (liczy sobie 120 lat) udekorowanym czarnym, dwugłowym orłem, mieściła się placówka policyjna. Po odzyskaniu niepodległości budynek przejęła policja polska. Z okresu międzywojennego zachowała się tablica informacyjna wraz z orłem w koronie. Opiekuje się nią komendant posterunku st. chor. Henryk Bąbka.

Czy tablica znów będzie aktualna? Nie ma już powiatów, a Włoszczowa znajduje się w sąsiednim kieleckim województwie...

(M)
zdj. Jerzy Ostrowski



U Kryptonim „METROPOL" 3

NAJMRODZKI STORY

WIESŁAW PIETRYKA

■ Do ppor. Lachowskiego napływa coraz to więcej informacji na temat członków samochodowego gangu i przestępczej ich działalności. Żeby zbytnio nie nudzić P.T. Czytelników, wymieńmy tylko co ciekawsze. Między innymi wiadome jest Lachowskiemu i jego kolegom, że członkowie znanej nam grupy przestępczej są w posiadaniu zagranicznych walorów płatniczych oraz złotej biżuterii, które to walory oraz biżuteria służą im jako waluta we wzajemnych transakcjach, wiadome mu jest ponadto, że Najmrodzki posiada, nielegalnie oczywiście, broń palną, najprawdopodobniej pistolet.

Ale od wyżej przytoczonych bardziej zelektryzowała Lachowskiego informacja, że w pierwszych dniach marca 1984 Najmrodzki, Kowalski oraz Lisowski wybierają się jechać na Wybrzeże w celu załatwienia m. in. lewych paszportów. Znać, że noszą się z zamiarem zlikwidowania całego interesu, aby spokojnie korzystać z jego owoców w którejś z zachodnich krain.

Ostatecznie 3 marca 1984 do Gdańska jadą Najmrodzki i Kowalski. Tu spotyka ich drobna nieprzyjemność, mianowicie „Fagas" niespodzianie nadziewa się na grupę miejscowych cinkciarzy, z których jeden ma uzasadnione pretensje do warszawiaka. Otóż podczas jednego ze swoich poprzednich pobytów na Wybrzeżu „Fagas", niepomny na zawodową solidarność, przewalił gdańskiego kolesia na ładnych parędziesiąt patoli. Nie udało mi się ustalić, w jaki sposób Kowalski i Najmrodzki wyszli cało z tego spotkania, wiem natomiast, że konflikt jedynie na krótko został zażegnany.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem obaj warszawiacy są już w hotelu w Mrągowie (woj. olsztyńskie). Nie zamieszkali w nim bynajmniej w celach turystycznych bądź wyłącznie noclegowych. Otóż, co się później okazało, ale ja to wyjawię już teraz, przybyli do wspomnianego hotelu w celu nader konkretnym, a to żeby rąbnąć stąd najwyższej klasy sprzęt wideo, a mianowicie monitor z przystawką made in Japan wartości ponad pół miliona złotych, na który to sprzęt mieli już konkretne zamówienie od konkretnego nabywcy. Z tego powodu zostawili w hotelowej recepcji oryginalne dowody osobiste ze swoimi oryginalnymi zdjęciami, ba, nawet z pieczątką zakładu pracy, ale za to fałszywymi personaliami. Najmrodzki — na imię i nazwisko Ryszarda Dąbrowskiego, a Kowalski — Marka Grabowskiego.

Nazajutrz po dobrze przespanej nocy, co zwykle się zdarza ludziom o czystym i spokojnym sumieniu, Najmrodzki wychodzi z pokoju na korytarz i oto jego piękne oczy widzą, jak zmierza ku niemu dwóch rosłych cinkciarzy gdańskich, przed którymi wczoraj zdołali z „Fagasem" nawiać, w celu ostatecznego rozrachunku, czyli, nazywając rzecz po imieniu bez owijania w bawełnę, obicia z przeproszeniem mordy i nie tylko. Najmrodzki błyskawicznie wyciąga pistolet gazowy i dwoma celnymi strzałami obezwładnia napastników, po czym zbiega do recepcji. Ale tu czeka już na niego trzech następnych cinkciarzy. Jednocześnie portier przytomnie zamyka wejściowe drzwi na klucz i pędzi do telefonu w celu powiadomienia miejscowych organów. Najmrodzki nie traci ani głowy, ani zimnej krwi. Terroryzuje portiera, którego zmusza do otwarcia drzwi, wybiega do swojego, tzn. kradzionego samochodu BMW nr rej. WAR 3727 i odjeżdża w siną dal.

Przybyli, notabene bardzo szybko, milicjanci udają się radiowozem w pościg za bandziorem. Na ostrzegawcze strzały w górę uciekający nie reaguje, wówczas ścigający go funkcjonariusze strzelają, zresztą zgodnie z przepisami, wprost w samochód. I tu znów Najmrodzki miał diabelne szczęście. Jak się później okazało, jeden z wystrzelonych pocisków trafił w dół karoserii BMW, a drugi przebił tylną szybę i utkwił... w zagłówku, ledwo parę centymetrów od głowy kierowcy.

Najmrodzki ucieka, co dla nikogo nie powinno być dziwne. Po pierwsze jest znakomitym kierowcą, choć nie ma i nigdy nie miał prawa jazdy, jeśli nie liczyć tych fałszywych, a po drugie, gdzie tam równać się milicyjnemu radiowozowi z BMW; Najmrodzki trasę z Warszawy do Katowic zwykł tym wozem robić w 1 godzinę i 50 minut.

Tymczasem Kowalski słysząc na korytarzu hotelowym strzały niezwłocznie pryska z pokoju przez okno, dopada na najbliższym postoju taksówki, której pan kierowca za złoty sygnet bez zbędnych pytań przywozi hojnego pasażera do Warszawy.

Pozostawione w recepcji hotelowej dowody osobiste informują, że miejscem zamieszkania obu panów jest wieś Promna (!) nie opodal Białobrzegów, o czym niezwłocznie biegnie wieść do tamtejszego RUSW. Zastępca szefa tego urzędu błyskawicznie kojarzy sobie nazwisko Dąbrowski z Najmrodzkim, piorunem zawiadamia o tym Warszawę i wszystkie posterunki na trasie przewidywanej ucieczki BMW o znanym nam numerze rejestracyjnym (nawiasem mówiąc Najmrodzki dysponował trzema kompletami tablic o różnych numerach).

5 marca 1984 około godz. 8.00 załoga jednego z radiowozów SUSW, w składzie sierżant Krzysztof Gaj i sierż. Dariusz Zarzycki, spostrzega w okolicy Nowego Dworu Mazowieckiego oczekiwane z utęsknieniem BMW. Próba zatrzymania kończy się fiaskiem. Milicjanci ruszają w pościg. Gdzieś po dwóch godzinach szaleńczej jazdy, zupełnie jak w kinie na sensacyjnym filmie, Najmrodzki porzuca wóz na przejeździe kolejowym w Bożej Woli koło Błonia i dalej ucieka pieszo, następnie kradnie spod jakiegoś płotu rower, potem porzuca go i znów ucieka pieszo na przełaj przez pola. Ale funkcjonariusze nie gubią raz podjętego tropu. Po mniej więcej 5 kilometrach pieszej pogoni znów mają uciekiniera na celowniku. Co robić, jak go zażyć? Wiedzą, że ten może być uzbrojony. Nie ma to jak dobry pomysł i łut szczęścia. Jeden z funkcjonariuszy zatrzymuje poloneza, którego pasażerce polecił kiwać ręką na wskazanego przezeń mężczyznę, a sam nisko pochylony czekał na odpowiedni moment. Kiedy Najmrodzki zbliżył się do wozu, milicjant błyskawicznie zeń wyskoczył z bronią gotową do strzału i zgarnął całkiem osłupiałego bandziora.

Przewieziony do Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych Najmrodzki oświadcza, że będzie rozmawiać wyłącznie z ppor. Lachowskim. Takiemu życzeniu nie sposób odmówić, więc po godzinie czy dwóch obaj panowie spotykają się twarzą w twarz. Najmrodzki nie bez kozery wyraził to życzenie. Wie od Urszuli, iż Lachowski wie o nim najwięcej, również o willi w Wesołej, liczy jednakże na to, że tymczasem wie o niej tylko Lachowski, może więc uda mu się na stronie targ z oficerem, żeby tego faktu nie ujawniał. Najmrodzki, odkąd powziął zamiar prysnięcia z narzeczoną za granicę, postanowił willę sprzedać. Miał już nawet na nią kontrahenta i to za 25 milionów, więc by jeszcze 9 zarobił na czysto. Kiedy tylko zostaje z Lachowskim sam na sam, proponuje mu za nieujawnienie faktu posiadania willi oraz za ułatwienie ucieczki 15 tysięcy. Oczywiście dolarów. W razie czego da więcej.

Ppor. Lachowski nie wyprowadza Najmrodzkiego z błędu i nie tłumaczy, że o willi wiedzą dawno wszyscy funkcjonariusze zainteresowani sprawą, powiada, że przemyśli temat. I sporządza dla przełożonych raport o tej atrakcyjnej propozycji.

Tymczasem Najmrodzki zostaje aresztowany pod zarzutem kradzieży 3 polonezów na Rakowcu (patrz odcinek pierwszy), Lachowski ma czas na spokojną pracę z podejrzanym. Podczas tych codziennych spotkań Najmrodzki często ponawia swoją propozycję uczynioną Lachowskiemu przy pierwszym spotkaniu. Oficer daje odpowiedzi wymijające, żeby nie zniechęcić klienta, kierując rozmowy na zasadniczy temat. Najmrodzki informuje, że owszem ma na koncie inne przestępstwa, ale nie na protokół. Będzie mówił, czemu nie, ale wciąż wraca do swojej pierwszej propozycji, z gotowymi wersjami, dodajmy wcale nie głupimi, ucieczki i to tak, żeby Lachowski też był kryty (np. w czasie przewożenia, wizji lokalnej itp.).

Przyciskany Najmrodzki, mówi tyle, ile musi, nic więcej. Jednak dostatecznie wiele, aby zatrzymać pozostałych uczestników gangu. Jeszcze tego samego dnia funkcjonariusze Wydziału Kryminalnego DUSW Warszawa-Ochota zatrzymują Mirosława Kowalskiego vel „Fagasa" i Daniela Lisowskiego, a nazajutrz 6 marca 1984 — Piotra Kniazia, Piotra Wiklinę, Sabinę Najmrodzką — mamuśkę Zdzicha i Urszulę Krawczyk, tę ostatnią pod zarzutem przyjęcia korzyści majątkowej pochodzącej z przestępstwa, czego nie mogła się nie domyślać, na ogólną sumę 30 milionów złotych. Trzeba powiedzieć, że narzeczony miał gest.

W wyniku przeszukań oraz innych rozlicznych czynności milicyjnych odzyskano wtedy 41 skradzionych polonezów, biżuterię złotą, gotówkę oraz znaczną część przedmiotów pochodzących z kradzieży, a to lodówki, dywany, zamrażarki, telewizory, grzejniki, także wypchanego bażanta, ba, nawet fartuszek kuchenny, bo Najmrodzki i spółka niczym nie gardzili, ponadto zabezpieczono u członków gangu mienie na poczet przyszłych acz niewątpliwych roszczeń skarbu państwa — ogółem na sumę 145 milionów złotych polskich. Nie

jest to zbyt wiele, jeśli zważyć, iż zatrzymani przyznają się, że w ciągu niespełna dwóch lat swojej energicznej działalności oszukali i ukradli na sumę ponad 300 milionów złotych!

I tak m. in. przyznają się do kradzieży: 60 polonezów, 7 fordów i 1 BMW, przy czym kradzieży następnych 9 wozów nie zdołano jeszcze udokumentować; kilkudziesięciu włamań do samochodów oraz również kilkudziesięciu różnego rodzaju oszustw, kilkunastu „przewalanek" przy użyciu legitymacji milicyjnych (sprzedają klientowi dolary lub złoto, na której to transakcji nakrywa ich rzekomy funkcjonariusz); 2 włamań do pewexów w Koszalinie i Tarnowie; 3 włamań do mieszkań prywatnych; 26 włamań do domków letniskowych.

Ale to jeszcze nie wszystko. W trakcie przeszukań u podejrzanych zakwestionowano pochodzące z włamań do urzędów gminnych w Promnej (radomskie), Borowie (ostrołęckie) i Grodzisku Mazowieckim (stoł. warszawskie): 62 dowody osobiste, 23 prawa jazdy, 82 dowody rejestracyjne, 2 legitymacje milicyjne (jedną odkupioną od kieszonkowców za 10 tys. złotych z wklejonym zdjęciem Najmrodzkiego jako kapitana, drugą ukradzioną pewnemu funkcjonariuszowi w restauracji); worek (dosłownie) pieczątek oryginalnych oraz fachowo podrobionych (CPN, urzędów gminnych, urzędów stanu cywilnego, MPT, Polmozbytu, wydziałów komunikacji itd., itp.); oryginalną prasę do wytłaczania suchych pieczęci oraz lutownicę (z nitami) do zdjęć; 3 skradzione paszporty i 4 zagraniczne legitymacje studenckie oraz pistolet FN kaliber 7,65 mm dostosowany do strzelania nabojami kbks kal. 5,65 mm i 180 naboi do karabinka sportowego.

Ale to jeszcze nie wszystko. Zatrzymani przyznają się również do kradzieży zagranicznego TIR-a z ładunkiem żółtego sera, którego to samochodu wraz z zawartością do dzisiaj jeszcze nie odnaleziono. Ot, ciekawostka.

W toku dalszych czynności dochodzeniowo-operacyjnych zatrzymano kolejnych członków gangu: 36-letniego Wacława Niskiego, z zawodu kelnera, który dostarczał Najmrodzkiemu i spółce kradzione (przez innych), a potrzebne dokumenty, ponadto spełniał w grupie rolę pasera i doradcy, gdzie, jak, kiedy i na co dokonać kolejnego skoku; 32-letniego Cezarego Podolskiego, karanego na 8 lat za rozbój, dostarczyciela dokumentów i pieczątek od znajomych drukarzy z Domu Słowa Polskiego oraz 27-letniego Bogusława Najmrodzkiego, właściciela salonu gier zręcznościowych w Gliwicach, rodzonego braciszka głównego podejrzanego, okazjonalnie uczestniczącego we włamaniach i kradzieżach grupy.

Ponadto kilka innych osób przewiduje się do zatrzymania przez organy.

cdn.

W IMIĘ HUMANIZACJI



Przeszywający ciszę pisk opon! Tył czerwonego poloneza wprost tańczy na mokrej nawierzchni jezdni. Jeszcze jedno dramatyczne wyciśnięcie hamulca aż do oporu, do przysłowiowej dechy i samochód, rzucony bokiem do kierunku jazdy, staje w bezruchu. Pięćdziesięciodwuletni kierowca z czołem zroszonym kropelkami potu wyskakuje z kabiny. Tuż za nim dwie kobiety: żona i córka. Teraz dopiero przerażenie całej trójki sięga zenitu.

Przed maską poloneza leży dziewczyna lat około piętnastu. Z lewej strony głowy sączy się krew. Wszystko wskazuje na to, że jeszcze żyje. Prawdopodobnie została potrącona przez jakiś pojazd. Kiedy? Mogło to być pół lub dwie godziny temu. Na poboczu leży pogruchotany rower. Obok dziewczyny widać plastikową torbę.

Wypadek zdarzył się na kompletnym pustkowiu. Do najbliższej wsi będzie około trzech kilometrów.

Kierowca poloneza, który dzięki refleksowi i umiejętnościom zdołał uniknąć ponownego najechania dziewczyny, pozostawia na miejscu tragedii żonę i córkę. Sam pełnym gazem rusza w kierunku wsi. Tam odnajduje sołtysa. Wspólnie telefonują do posterunku MO, zawiadamiają o zdarzeniu.

Mija pół godziny. Posterunkowi przybywają na miejsce tragedii w towarzystwie lekarza z Gminnego Ośrodka Zdrowia. Lekarz stwierdza u nieprzytomnej dziewczyny rozległe obrażenia głowy, obojczyka i biodra. Stara się zatamować dalszy upływ krwi. Mówi: „Jeszcze tylko pół godziny i ciało dziewczyny mogłoby być odwiezione jedynie do prosektorium". Zapewnia, że ofiara wypadku będzie żyła.

Komendant posterunku st. sierż. sztab. Jerzy S. zawiadamia RUSW. Stamtąd płyną telefonogramy do sąsiednich rejonów. Prośba o wzmożoną czujność przy kontroli pojazdów, o zwrócenie szczególnej uwagi na wgniecenia, starty lakier, ślady krwi na masce, zderzaku lub błotniku. Pozostało tylko takie działanie, gdyż bezpośredni pościg nie wchodził już w rachubę.

Świadków wypadku nie było. Sprawcy potrącenia mogła nie ujrzeć nawet jego ofiara: kto to był? Mężczyzna czy kobieta? Trzeźwy czy pijany? Jechał samochodem czy motocyklem? Z czyjej winy nastąpiło potrącenie?

Na niektóre z tych pytań będzie mogła odpowiedzieć we właściwym czasie ofiara wypadku. Kiedy? Za dwa, trzy dni? A może za tydzień? Trudno przewidzieć. Przecież nie minął jeszcze całkowicie okres niepewności. Czy dziewczyna zostanie utrzymana przy życiu? Któż wie, czy nie ma poważniejszych, niemożliwych do stwierdzenia podczas pierwszych oględzin, urazów czaszki.

Jedno jest pewne: kierowca uciekł, by uchronić się przed ewentualnymi kłopotami. Nie zawiadomił nawet pogotowia ratunkowego. Życie dziewczyny było dla niego obojętne. Gdyby do tego wypadku doszło w nocy, dziewczyna miałaby znikomą szansę na przeżycie, bo albo nikt by jej nie odnalazł, albo ktoś mógłby ją rozjechać.

Ucieczki sprawców wypadków drogowych stały się nagminne. Wiedzą o tym funkcjonariusze MO z posterunków, komisariatów i RUSW. Są wzywani po fakcie, gdy sprawcy zdołali się już oddalić, pozostawiając ofiary własnemu losowi. Wśród ofiar nie brak dzieci, w tym poniżej 10 lat.

Z milicyjnych doświadczeń wynika, że najczęściej uciekają sprawcy wypadków dokonanych po spożyciu alkoholu, a więc nietrzeźwi. Grożą im bowiem kary pozbawienia wolności oraz kary materialne, wynikłe z procesów cywilnych, a także utrata praw jazdy. Uciekają pojazdami, które uczestniczyły w wypadkach. Pędzą co sił do zaprzyjaźnionych mechaników i blacharzy, proszą o ekspresowe usunięcie zgnieceń i nałożenie lakierowanej powłoki. Przedstawiają całkiem odmienne od rzeczywistych wersje zdarzeń. Tworzą sobie również alibi na czas zaistniałych wypadków.

Bywa, że świadkami wypadków są postronne osoby. Mogłyby one dać świadectwo prawdzie. Często zawiadamiają funkcjonariuszy MO, szpital, pogotowie ratunkowe, ale anonimowo. Dobre i to — mówią funkcjonariusze milicji — szczególnie wówczas, gdy w anonimowej informacji zawarte są numery rejestracyjne pojazdu, który uczestniczył w wypadku. Jednakże brak świadka daje niemoralnie postępującemu kierowcy możliwość kręctactw, wysuwania korzystnej dla siebie wersji co do przebiegu zdarzenia.

— Co możemy przeciwstawić uciekającym na pełnym gazie volkswagenom, mercedesom, citroenom, toyotom...? Tylko wyeksploatowane fiaty 125p lub FSO, wolno nabierające szybkości polonezy, obciążone głośnikami i wyregulowane do oszczędnego zużywania paliwa. Często strach przyciskać pedał gazu w tych pojazdach, bo mogą się rozsypać — mówi płk Andrzej Dudziński, naczelnik wydziału w Biurze Ruchu Drogowego KG MO.

Bywa też — podkreśla naczelnik — że mimo tych różnic w sprzęcie, pojazd milicyjny, prowadzony na ogół przez doskonałego kierowcę, zbliży się do uciekiniera, ale bez szans na wyprzedzenie. Policjant we Francji, Włoszech czy w USA zmusiłby pirata do zatrzymania się oddając strzały w koła jego pojazdu. A u nas? Po co milicjant ma pistolet? Gdyby go użył podczas pościgu za sprawcą wypadku drogowego, miałby do czynienia z prokuratorem. Odechciałoby się takiego postępowania nie tylko jemu, ale i jego towarzyszowi służby. To samo dotyczy „kolczatki". Rzadko jej używamy. M. in. z obawy, aby uciekającemu nic się nie stało.

Bardzo istotny dla ustalenia tożsamości uciekającego sprawcy wypadku jest natychmiastowy dostęp do ewidencji pojazdów — kontynuuje płk Andrzej Dudziński. — Ale te możliwości są mocno ograniczone. Po godz. 16.00 jest to prawie niemożliwe. Gdy zaś wypadek zdarzy się w sobotę, zidentyfikować sprawcę można dopiero w poniedziałek. Do tego czasu może on wytrzeźwieć, wyremontować uszkodzony samochód, znaleźć sobie alibi. Nawet w Warszawie, żeby przełamać tę barierę trzeba wiedzieć, w którym dzielnicowym urzędzie pojazd został zarejestrowany, a następnie jechać po pracownika wydziału komunikacji, a z nim po klucze i dopiero można zajrzeć do kartoteki. W małych miasteczkach bywa jeszcze gorzej. A gdy wypadek spowoduje kierowca pojazdu zarejestrowanego w innym województwie, to już prawdziwy koszmar. Daleko nam jeszcze do tego, co jest w świecie. Tam wszystkie dane dotyczące pojazdów mechanicznych oraz ich właścicieli są skomputeryzowane, z końcówkami sięgającymi do powiatów. Ustalenie potrzebnych informacji bywa kwestią kilku minut.

Nie wiedząc o naszym zapóźnieniu w tej dziedzinie społeczeństwo ma pretensje. Posądza milicję o opieszałość lub nieporadność.

Do pełnego obrazu należałoby jeszcze, według opinii naczelnika, dodać, że akcje pościgowe są często niemożliwe również ze względu na ograniczone środki finansowe, którymi dysponują jednostki MO. Brak jest po prostu pieniędzy na paliwo. W niektórych województwach już w październiku 1989 roku samochody służby ruchu drogowego były unieruchomione z „braku kilometrów" i pieniędzy na eksploatację.

Ucieczkom więc sprzyja brak patroli na drogach. Są one widoczne nie częściej niż co sto kilometrów, a bywa, że i co trzysta. To zależy od trasy.

Zgodnie z obowiązującym u nas prawem ucieczki z miejsca wypadków nie są karalne. Nie stanowią okoliczności obciążających sprawców, nie wpływają również na wymiar kary. A jeśli kierowca-pirat jest nietrzeźwy, ucieczka, na ogół skuteczna, chroni go przed utratą prawa jazdy.

Jak długo jeszcze?

Mówi się, że do czasu znowelizowania prawa drogowego. Ile osób straci w tym czasie życie? Ilę, pozostawionych na szosach bez jakiejkolwiek pomocy, nie doczeka momentu przybycia lekarza?

— Sygnalizujemy o tym zjawisku właściwym czynnikom. Podsuwamy projekt rozwiązania tej kwestii zarówno w dziedzinie prawnej, jak i technicznej — mówi dyrektor Biura Ruchu Drogowego KG MO płk Bolesław Pater. — Ale nasze sygnały nie znajdują posłuchu. Przeciwnie, wszystko zmierza do większej liberalizacji przepisów obowiązującego prawa.

Dodajmy: w imię jego humanizacji.

EDWARD NOWAK



MÓJ PIES

PSIE LEGOWISKO

Obserwację zachowania psa ułatwi nam przygotowanie stałego legowiska psa w domu. Pies nie chcąc go zabrudzić, będzie starał się legowisko opuścić, często sygnalizując w ten sposób (również nadmierną ruchliwością i popiskiwaniem) swoje potrzeby.

Przybycie do domu zwierzęcia wymaga poświęceń. Mam nadzieję, że nasze porady uchronią przed podjęciem pochopnej decyzji, a pomogą w utrzymaniu i wytresowaniu takiego psa, którego posiadanie daje dużo radości i satysfakcji. Proszę więc nie przejmować się swoimi pierwszymi niepowodzeniami, jeżeli przyczynią się do zdobycia doświadczeń. Proszę również pamiętać, że stosowanie przez niektórych „treserów" zasady cel uświęca środki, nie może usprawiedliwiać brutalności wobec psa. Zjednujemy sobie przywiązanie naszych przyjaciół, a nie bezwzględnie ich podporządkowujemy. Ich radość przebywania z nami będzie i naszą radością.

Ale wróćmy do legowiska psa. Jest ono nienaruszalnym terytorium psa dającym mu poczucie bezpieczeństwa i... wygody. Przyzwyczajanie psa do korzystania z legowiska pozbawia nas problemu z zajmowaniem przez psa foteli, łóżek, wałęsania się po domu. Uwagi techniczne: 1. Wielkość legowiska zależy od wielkości psa, np. dla foksteriera 45 x 45 cm, dla owczarka niemieckiego 100 x 80 cm. 2. Najlepszym legowiskiem jest drewniana rama z naciągniętym mocnym płótnem, na którą można położyć kawałek koca obciągniętego poszewką. Daje to możliwość oczyszczenia legowiska, a więc uniknięcia przykrego zapachu i pcheł, które nie składają jaj na sierści psa, a właśnie w legowisku. 3. Należy unikać miejsc przy oknie i grzejnikach. 4. Na sygnał „na miejsce" lub znak wyciągniętą ręką w kierunku legowiska pies powinien niezwłocznie się tam udać. Można go tam doprowadzić i kiedy je zajmie pogłaskać, ale nigdy, nawet gdy coś spsoci i ucieknie na legowisko, nie wolno go tam skarcić! 5. Kto ma ogród, własne podwórze może zbudować kojec. Chów na wolnym powietrzu zapewnia lepszy rozwój fizyczny psa, większą odporność na choroby. Kojec nie może być jednak klatką dla psa. 6. Przyzwyczajanie do kojca powinno odbywać się już od szczenięcia. Rozpieszczanie psa w mieszkaniu i przeniesienie go potem do kojca wywoła rozpacz i próby powrotu.

Psu i nam dużo zadowolenia da kontakt wzrokowy, więc jeżeli jest to możliwe niech to legowisko będzie tak umieszczone, abyśmy nawzajem mogli się obserwować.

JAN WALICKI
zdj. K. Mokrzyszewski

STRZAŁY W ŚWIEBODZICACH



Milicjanci ze Świebodzic w woj. wałbrzyskim, w krótkim okresie dwukrotnie użyli broni służbowej i to przeciwko tej samej osobie.

W lipcu ub. roku dwaj funkcjonariusze udali się do mieszkania państwa P. w celu zatrzymania ich nieletniego syna Roberta. Ten nigdzie nie pracujący i nie uczący się, za to silny jak tur chłopak, był podejrzany o podpalanie altanek i kradzież samochodu. Na wezwania nie zgłaszał się do komisariatu. Milicjanci zapukali do mieszkania, lecz mimo że słyszeli szmery, nikt nie kwapił się, by otwierać drzwi. Wówczas jeden z milicjantów pojechał do zakładu pracy matki Roberta, aby ona otworzyła mieszkanie.

Gdy tylko Robert wraz z ojcem zobaczyli, że radiowóz odjeżdża, natychmiast wybiegli na korytarz i tu natknęli się na drugiego z milicjantów zagradzającego wyjście. Mężczyźni bez chwili wahania rzucili się na niego i wywiązała się ostra walka. Robert rozwarł palce trzymającego go milicjanta, gryząc je do krwi. Milicjantowi udało się wyciągnąć broń i oddać strzał ostrzegawczy. To ostudziło napastników, ale Robert zdołał zbiec. Wkrótce został ujęty i osadzony w poprawczaku, a ojcem zajęła się Temida.

10 grudnia ub. roku dyżurny komisariatu otrzymuje wiadomość, że na rynku w Świebodzicach szaleje z siekierą Robert P. Natychmiast udaje się tam trzech funkcjonariuszy radiowozem „Nysa". Zatrzymują się na rynku i gdy jeden z nich zamierza otworzyć tylne drzwi, głuchy łoskot wstrząsa nysą. Po chwili słyszą drugie uderzenie i ostrze siekiery przecina blachę na wylot. Milicjanci odjeżdżają kawałek i przez radiostację powiadamiają komendanta komisariatu por. Witolda Jankowskiego. Ten podejmuje natychmiast decyzję o wysłaniu na miejsce zdarzenia przewodnika z psem obronnym. Tymczasem milicjanci zbliżają się do Roberta wzywając go do odrzucenia siekiery. Ten jednak wywija nią zamaszyste młynki ani myśląc o poddaniu się. Padają dwa strzały ostrzegawcze, ale nie robi to na Robercie żadnego wrażenia. Co jakiś czas popija wódkę z butelki i przemieszcza się w kierunku komisariatu.

Milicjanci cały czas mu towarzyszą, gotowi, jeżeli nastąpi zagrożenie czyjegoś życia, użyć broni. Incydent ten zaczął się pół godziny wcześniej, gdy to Robert z siekierą w ręku zabrał przed sklepem monopolowym jakiemuś mężczyźnie pół litra wódki. Na pierwszy ogień jego szaleńczej pasji poszły cztery ogromne szyby w sklepie meblowym. Nie opodal stoi karetka pogotowia. Robert wybija w niej wszystkie szyby i światła. Kierowca karetki może mówić o niesamowitym szczęściu. Ostrze siekiery przeszło kilka centymetrów od jego głowy, wbijając się w podsufitkę. Dużą przytomność umysłu wykazał również kierowca opla kadeta. Nieświadom niczego właściciel samochodu najechał wprost na szalejącego Roberta. Ten wykonał dwa potężne uderzenia w maskę przebijając ją na wylot. Gdy przymierzał się do uderzenia w przednią szybę, a tym samym w głowę kierowcy, ów wrzucił wsteczny bieg i wycofał się w bezpieczne miejsce.

Zanim milicjanci przybyli na rynek, Robert zdołał jeszcze powybijać szyby w autokarze i pociąć w nim blachę. Kilkanaście minut po czternastej na trasie marszruty Roberta stanął przewodnik z silnym i szybkim jak błyskawica psem obronnym Dingo. Robert nadal nie słuchał wezwań do odrzucenia siekiery. Stanął na szeroko rozstawionych nogach i przygotowywał się do odparcia ataku. Dingo kilkakrotnie okrążył Roberta zacieśniając coraz bardziej krąg i w pewnym, najmniej spodziewanym momencie, wyskoczył jak strzała. Robert nie zdążył się nawet zamachnąć i już leżał na ziemi. Groźne kły Dingo tuż przy jego gardle natychmiast spowodowały, że znieruchomiał. Po chwili na rękach Roberta zacisnęły się kajdanki. W związku z tym, że w listopadzie 1989 r. ukończył 17 lat wkrótce odpowie przed sądem za swoje czyny.

★

O tym wydarzeniu było głośno w Świebodzicach i okolicy. Ale było ono incydentalne, za to z Cyganami milicjanci ze Świebodzic mają problemy na okrągło.



St. chor. Marian Szewczyk, jedyny, który może się z nimi dogadać w ich języku, mógłby rozprawiać o wyczynach Cyganów godzinami. Nieliczna, bo około 120-osobowa, grupa mocno daje się we znaki tutejszym stróżom prawa. Chorąży dzieli Cyganów na trzy grupy: tych co siedzieli, siedzą i będą siedzieć. Tylko kilku z nich pracuje, a reszta, jak sami mówią, „kręci się", tzn. obraca przy różnych ciemnych interesach. Ich stary król Su[illegible]maj od dłuższego czasu choruje, a jego synowie non stop tłuką się o schedę po nim.

Jedni wychodzą z więzienia, inni tam trafiają i tak na okrągło, ale ile to wymaga zabiegów i pracy, głównie operacyjnej, wiedzą tylko milicjanci. Cyganie na wezwania nie reagują, a już



konfrontacja czy rozpoznanie to istny cyrk. Na zewnątrz są niezwykle solidarni. Nikt niczego nie wie, nikt niczego nie widział. Pieniędzy na zapłacenie grzywny nigdy nie mają, ale jeżeli np. kolegium zamienia komuś grzywnę na areszt, to od razu forsa się znajduje. Tak się jakoś dziwnie składa, że wielu z nich nigdzie nie pracowało, a renty państwowe pobiera...

Ostatnie trzy sprawy prowadzone przeciwko Cyganom to włamania do Szkoły Podstawowej nr 3, skąd skradziono magnetowid i minikomputer, włamanie do kawiarni Mocca przez wentylator i napady na nietrzeźwych. Sprawcy zostali ustaleni, a w ostatniej sprawie byli to kilkunastoletni chłopcy. Jeden podkładał się pod nogi delikwentowi, który szedł chwiejnym krokiem, reszta wywracała go obsiadając jak muchy. Błyskawicznie czyścili kieszenie i równie szybko ulatniali się. Kradzieże zuchwałe na ulicach i w sklepach stały się ich ulubioną zabawą. Najgorsze jest to, że nie ma żadnej szansy na zmianę postępowania akurat tej grupki narodowościowej. „Cygan z reguły nie zabija, ale kradł będzie, bo złodziejstwo to jego druga natura" — tak twierdzi wielu z przesłuchiwanych śniadolicych.

Drugim wątpliwym szczęściem, jakim obdarzono milicjantów ze Świebodzic, jest wojewódzka giełda samochodowa, odbywająca się co niedzielę. Maleńki placyk nie jest w stanie pomieścić choćby połowy chętnych do sprzedaży pojazdów. Parkują więc gdzie się da, blokując przejazd, niszcząc trawniki. Kilkutysięczne mandaty, jakimi można ukarać kierowców, są dzisiaj śmieszne. No i oczywiście giełda zmieniła się w bazar. Zważywszy, że Świebodzice zajmują pierwsze miejsce w kraju w przeliczeniu liczby zakładów produkcyjnych do liczby mieszkańców, to atrakcyjnych towarów do pohandlowania nie brakuje. Tu produkuje się m. in.: w „Termecie" bardzo poszukiwane termy i piece gazowe, w „Merze" podzespoły elektroniczne, w „Klimatorze" wentylatory, różnego rodzaju kurtki, w tym i nasze typu moro w „Rafio", w „Śnieżce" czekolady, czy piękne regały w fabryce mebli. Sypią się więc sprawy o spekulację, ale kary orzekane przez sądy i kolegia są niczym w stosunku do przestępczo osiąganych zysków. Natłok ludzi i samochodów sprzyja dokonywaniu kradzieży i oszustw. Ostatnio np. skradziono saszetkę złotnikowi, w której miał przygotowane do wyceny 97 pierścionków i 14 obrączek.

Mimo takiego nawału spraw 30-osobowa załoga komisariatu może się poszczycić ponad 80-procentową wykrywalnością (!). I co dziwne, w Świebodzicach nikt nie narzeka, jak to ostatnio jest w modzie w całym kraju.

ZYGMUNT PODHORODECKI
zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

§ Radca prawny odpowiada

WYNAGRODZENIE CZŁONKÓW KOLEGIÓW DS. WYKROCZEŃ

J. Żabiński z Warszawy. — Zasady wynagradzania członków kolegiów ds. wykroczeń określa zarządzenie ministra spraw wewnętrznych z 24 lipca 1989 r. w sprawie zasad wynagradzania za udział w posiedzeniach kolegiów i komisji orzecznictwa do spraw wykroczeń (Monitor Polski nr 24, poz. 191). Na podstawie ww. zarządzenia za udział w posiedzeniu komisji orzecznictwa ds. wykroczeń przysługuje wynagrodzenie:
— przewodniczącemu składu orzekającego — w wysokości 1400 zł
— członkom składu orzekającego — w wysokości 900 zł
— protokolantowi — w wysokości 1200 zł.

Są to stawki wynagrodzenia przysługujące za udział w jednym posiedzeniu. Niezależnie od tego, na żądanie członka kolegium (lub komisji) wypłaca mu się odszkodowanie przysługujące za utracony zarobek wskutek udziału w posiedzeniu
— do wysokości wynagrodzenia przysługującego przewodniczącemu składu orzekającego. Odszkodowanie jest wypłacane, jeżeli członek kolegium (lub komisji) wykaże, że nie pozostaje w stosunku pracy i że wynagrodzenie za udział w posiedzeniu kolegium (lub komisji) nie równoważy utraconego przez niego zarobku. Członkowi kolegium (lub komisji), który otrzymał na ww. podstawie odszkodowanie, nie przysługuje wynagrodzenie za udział w posiedzeniu komisji (lub kolegium). Stawki te zostaną niebawem podwyższone.

ZMIANA NIE TYLKO NAZWY

Michał K. z Gdańska. — Komitet Koordynacyjny Rady Ministrów do Spraw Przestrzegania Prawa został powołany uchwałą nr 139 Rady Ministrów z 25 września 1989 r. (Monitor Polski nr 35, poz. 270) i działa od wejścia w życie ww. uchwały, tj. od 20 października 1989 r. Komitet jest organem opiniodawczo-doradczym Rady Ministrów. Jego prace nadzoruje prezes Rady Ministrów. Przewodniczącym komitetu jest wiceprezes RM i minister spraw wewnętrznych — gen. broni Czesław Kiszczak. Cytowana uchwała określa zadania komitetu i sposób działania. Natomiast szczegółowy tryb prac komitetu określa ustalony przez niego regulamin. W związku z powołaniem ww. komitetu został rozwiązany Komitet Rady Ministrów do Spraw Przestrzegania Prawa, Porządku Publicznego i Dyscypliny Społecznej.

RYCZAŁT DLA KOMBATANTÓW

Rozporządzeniem Rady Ministrów z 13 grudnia 1989 r. (Dz. U. nr 67 poz. 410) od 1 listopada 1989 r. została podwyższona wysokość ryczałtu dla kombatantów z tytułu opłat za korzystanie z energii elektrycznej, gazowej i cieplnej na cele domowe. Wysokość tego ryczałtu wynosi obecnie 2700 zł miesięcznie.

GRAŻYNA GRZĄZEK

UWAGA! NASZ KONKURS „KIBIC DOSKONAŁY"

Nazwisko zwycięzcy poprzedniego konkursu podamy w następnym numerze „MK 997".

A oto kolejne pytania:

1. Jaką dyscyplinę sportu uprawiał ten zawodnik? (zdj. nr 1)
2. Jakim sportowym osiągnięciem wsławił się zawodnik z nr 9 na koszulce? (zdj. nr 3)
3. Ile razy judocy Wybrzeża Gdańsk zdobyli tytuł klubowego Mistrza Polski? Wymień nazwisko zawodnika oznaczonego na zdjęciu kółkiem. (zdj. nr 2)

Wśród nadawców prawidłowych odpowiedzi nadesłanych pod adresem redakcji z dopiskiem „Kibic doskonały" (w ciągu 10 dni) rozlosujemy nagrodę ufundowaną przez GKS Wybrzeże Gdańsk.



1


3


2

magazyn 997 kryminalny

Wsłużbie NARODU

PISMO RESORTU SPRAW WEWNĘTRZNYCH — UKAZUJE SIĘ OD 14 IV 1945 ROKU Wydawca MSW.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY: **ELŻBIETA CIERLICA** (zastępca red. naczelnego, 45-61-72 lub 20-16-39), **Ryszard Hrycyk** (red. graficzny), **JERZY KRZYŃSKI** (kierownik dz. zawodowego, 45-61-15), **ROMUALD ŁABANOW** (redaktor naczelny, 20-54-18 lub z MSW 149-70), **Henryk Makarski** (oddział red. w Lublinie, 201-01 w. 4605), **Tadeusz Noszczyński, Edward Nowak, Adam K. Podgórski** (oddział red. w Katowicach, 510-221 w. 1965), **Zygmunt Podhorodecki, Elżbieta Sitek, Paweł Szlachetko, Jolanta Szutkowska, Jolanta Ślifierz, MARCEL TABOR** (sekretarz redakcji, 45-61-32, 20-16-39), **Cezary Woliński, Krzysztof Zaczkiewicz** (red. techniczny)

FOTOREPORTER: **Krzysztof Mokrzyszewski**

ADIUSTATOR: **Agata Guzdek-Wrotna**

ŁĄCZNOŚĆ Z CZYTELNIKAMI: **Maria Pawlak, Teresa Tomaszewska,** 45-68-66

ADRES REDAKCJI: 00-896 Warszawa, ul. Ogrodowa 28/30. Telefon sekretariatu 45-61-26, kasa 45-60-86. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych oraz zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów nadesłanych artykułów.

PRENUMERATA: Prenumerata wyłącznie za pośrednictwem CKW dla jednostek resortu spraw wewnętrznych, WP i instytucji.

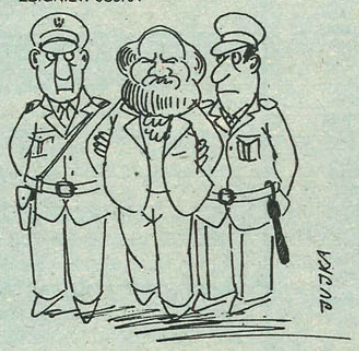
Wpłata na prenumeratę na II kwartał — do 10 marca 1990 r. w wysokości 6500 zł. Zamówienia i reklamacje w sprawie kolportażu kierować do RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centralny Kolportaż Wojskowy 00-950 Warszawa, ul. Wronia 29/31, tel. 20-12-61 w. 338. Wpłaty należy dokonywać na konto CKW w PBK XIII O/Warszawa nr 370044-001632.

DRUK: Wojskowe Zakłady Graficzne, 00-950 Warszawa, ul. Grzybowska 77

numer zamknięto 24 I 1990
Zam. 2543
F-74
REDAKTOR DYŻURNY
Jolanta Ślifierz

panorama WSN

ZBIGNIEW JUJKA



MYŚLI

Kiedy władca otoczony jest pochwałami i pochlebstwami, a od dobrych rad odsunięty, kraj znajduje się w niebezpieczeństwie.

Mo Ti

Z polityką jest jak z miłością — najważniejsze jest to, czego się nie mówi.

Ch. de Gaulle

Najwygodniejszy patriotyzm — to być chronicznie dumnym ze swego narodu.

A. Nowaczyński

Racje mogą być liczne, lecz prawda jest jedna.

K. Gaszyński

Pieniądze, które mamy, są narzędziem wolności. Pieniądze, za którymi się uganiamy — narzędziem niewoli.

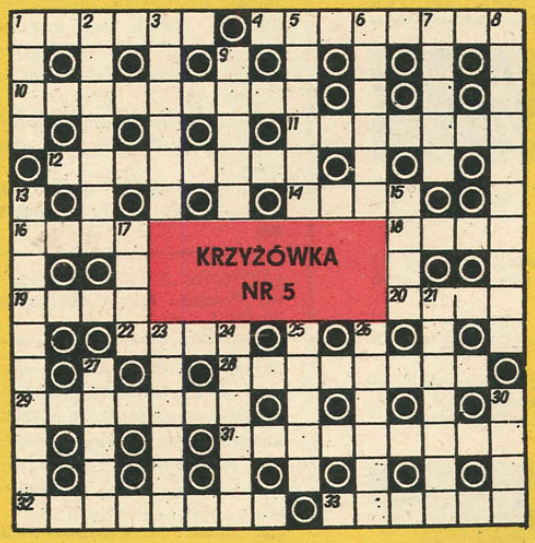
J. J. Rousseau



Zapamiętaj:

Sprawiedliwość — to równowaga między prawem a obowiązkiem.

K. Bunsch



POZIOMO: 1) pośrednik, 4) znak pisarski, 10) odbłyśnik, 11) maksyma, złota myśl, 12) w pełni jesieni, 14) samochód, 16) główny wyznawca islamu, 18) mityczna rzeka zapomnienia, 19) rodzaj kanapy, 20) angielska złotówka, 22) przypadek, 28) urzędnik, 39) niesława, 31) jeniec, zakładnik, 32) przelew pieniędzy, 33) antonim wady.

PIONOWO: 1) bastion, 2) składnik kawy, 3) propozycja, 5) rewia, pokaz, 6) wśród wapniowców, 7) wypas owiec, 8) pracuje wśród medykamentów, 9) część nogi, 13) nie oryginał, 15) imię czołowego kolarza NRD, 17) w najbliższej rodzinie, 21) pochwała, aprobata, 23) miłostka, 24) nasz słynny szermierz, złoty medalista IO 1964, 25) francuski rysownik, akwarelista, laureat Nagrody Leninowskiej, 26) drzewo liściaste, 27) oszukańcze przedsięwzięcie, 30) papiery urzędowe.

Rozwiązania prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 5". Do rozlosowania 5 bonów oszczędnościowych kazdy wartości

5000 ZŁOTYCH

Rozwiązanie krzyżówki nr 46—47

POZIOMO: żargon, żołnierz, łyżwiarka, szkliwo, ochotnik, Arno, spiż, kloc, ront, pole, ożóg, warsztat, owiewka, rebeliant, amatorka, Kaczor.

PIONOWO: żółw, Różycki, obibok, opaska, Nankin, Erwin, założyciel, oranż, astronomia, okap, żyto, opalacz, Żywago, gwarek, próba, szelma, wieża, ster.

Bon oszczędnościowy wartości **2000 złotych** wylosował **Henryk Kucewicz — 08-200 Łosice.**

DO POCZYTANIA

Ponad dwa miliony dolarów wynosiła wartość szopki bożenarodzeniowej, z którą czwórka młodych Kolumbijczyków zjawiła się w Madrycie. Wszystkie figurki ulepione były z czystej kokainy o łącznej wadze ok. 3 kg. Przemyt narkotyku został jednak wykryty przez hiszpańską policję.

★

Parlament szwedzki pracuje nad kartą praw dla... cieląt, krów, świń oraz drobiu.

★

Według specjalistów od biorytmów, klęski poniesione przez armię napoleońską nie były spowodowane przewagą nieprzyjaciela, lecz niekorzystnymi układami biorytmów Bonapartego.

★

Największa katastrofa górnicza wydarzyła się w Honkejko w Chinach 26 kwietnia 1942 r. W wyniku wybuchu, jaki nastąpił z nieustalonych przyczyn, w kopalni zginęło 1572 górników.

★

„Miliony nad głową!" — pod takim hasłem zalecają w USA nowy sposób zabezpieczania kas pancernych przed rabiusiami. Metoda polega na wbudowywaniu kas pancernych w sufit...

★

Księstwo Lichtenstein jest jedynym krajem na świecie, gdzie funkcjonuje bezpłatna komunikacja autobusowa. Wprowadzona została z myślą o ograniczeniu ruchu samochodowego zatruwającego środowisko naturalne. Deputowani mają bowiem nadzieję, że obywatele zachęceni darmowymi przejazdami, swoje samochody pozostawią w garażach. Lichtenstein ma tylko 26 tys. mieszkańców, ale aż 10 tys. samochodów.

Riposta

Szosą jedzie samochód z niedozwoloną prędkością. Milicjant zatrzymuje pojazd.

— Czyżbym jechał za szybko? — pyta kierowca.

— Nie, pan zbyt nisko leciał!

FRASZKI

POBOŻNE ŻYCZENIE

Oby się udało przez urynkowienie
kupić lepsze jutro po wczorajszej cenie.

PRZESTROGA

Nie wierz chłopie w filantropię
Czort pokaże złoto, a wciągnie cię w błoto.

CZAS I LUDZIE

Źle, gdy czas się trwoni
i na mannę czeka,
bowiem czas nas goni
i szybko ucieka.
Aby wyjść z impasu,
w biedę się nie wpędzać,
nie oszczędzaj czasu,
czas nas nie oszczędza.

Halina Wołoszczuk

ANEGDOTY

Xawery Dunikowski, znakomity rzeźbiarz, podczas jakiejś ostrej dyskusji z ministrem kultury i sztuki Włodzimierzem Sokorskim, nie mogąc dojść z nim do porozumienia, zagadnął go znienacka:

— A czy pan wie, kto był ministrem kultury za czasów Balzaka?

Sokorski rozłożył bezradnie ręce, a na to Dunikowski rzekł ze złośliwym uśmiechem:

— Widzi pan, a Balzaka wszyscy znają.

*

Z rozmowy dramaturga angielskiego Bernarda Shaw ze znakomitym aktorem Laurence Olivierem:

Olivier: — Zarozumialstwo jest fałszywą monetą zasługi!

Shaw: — Bez wątpienia, ale u nas tylko fałszywa moneta jest w obiegu...

Z NASZEGO KLASERA

Ilustracje rysunkowe do bajek dziecięcych są motywem znaczków pocztowych CSRS. Wydane zostały z okazji X Biennale ilustracji książkowej w Bratysławie.

Zb. Len.

